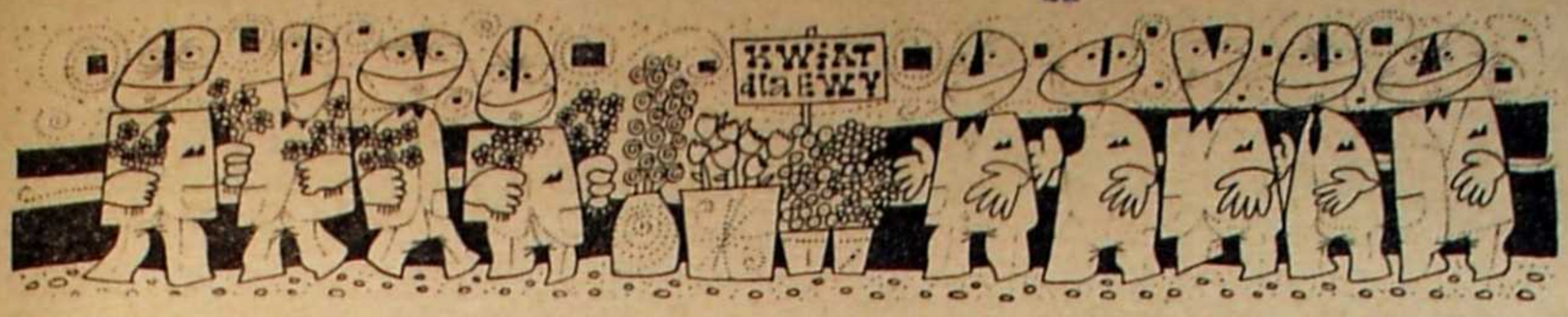

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 1.III.1970 Nr 5 (438) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

W numerze:

Nasze dyskusje

Ryzyko gospodarcze w kodeksie karnym

Fot. Janusz Mondychowski

Wszystkim Ewom — słonecznych dni i księżycowych nocy życzą: Ireneusz, Jerzy, Konrad, Maciej, Marek, Mirosław, Romuald i Zygmuntowie (dwaj) — z „Kameny".

Szkoda, że pani nie jest mężczyzną!

Ireneusz J. Kamiński

SKARANIE boskie z tą sławiną ofert stypendialnych — krygują się politechniki.

— Zakłady pracy nas nie lubią — skarżą się wyższe szkoły inżynierskie. — Nie zaspokajają naszych potrzeb w zakresie stypendiów fundowanych.

— Nie możemy podpisać z panem magistrem umowy stypendialnej, bo w najbliższej przyszłości nie będziemy mieli wolnych etatów. Że wysłaliśmy wniosek? Czego to się nie obiecuje... — z dydaktycznym przydechem informuje kadrowiec słuchacza wyższej uczelni.

— Szkoda, że pani nie jest mężczyzną — wzdycha dyrektor instytucji. — U nas robota ciężka, terenowa, nie dla kobiet.

— Do Koziołków Przeciętnych nie pójdę, bo umrę z nudów, a i kariery adwokackiej nie zrobię — mówi młody prawnik, zdecydowanie odrzucając wniosek stypendialny z powiatowej instytucji.

— Mieszkania nie gwarantujemy, konkretnego miejsca pracy nie możemy podać, a poza tym nasz zakład ma ulec likwidacji, a poza tym po co nam inżynierowie, dyrektor jest tylko technikiem i jakoś nie zbankrutowaliśmy, a poza tym...

Stypendia fundowane

...do sprawy „stypendia fundowane" znakomicie pasuje fraszka: z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało na raz. Z jednym niewielkim uzupełnieniem: żeby wiedziało, czego chce.

*

Na początku była ustawa o zatrudnianiu absolwentów szkół wyższych (25 lutego 1964 r.), która stworzyła prawne podstawy systemu planowego gospodarowania dyplomowaną kadrą inżynierów, lekarzy i magistrów specjalności niejako deficytowych. Założenia tego systemu były w zasadzie racjonalne, uwzględniały kierunki i tempo rozwoju gospodarki narodowej, zmierzały w praktyce do zaspokojenia zróżnicowanych potrzeb kadrowych przedsiębiorstw i instytucji oraz do likwidacji jaskrawych często dysproporcji w zakresie nasycenia wysoko kwalifikowaną kadrą.

Przepisami ustawy objęto absolwentów akademii medycznych, wyższych szkół ekonomicznych (z wyjątkiem handlu zagranicznego), wyższych szkół pedagogicznych, wyższych szkół rolniczych (poza mleczarstwem i ogrodnictwem), wyższych szkół technicznych oraz następujących kierunków uniwersyteckich: chemii, ekonomii, filologii — angielskiej, germańskiej i rosyjskiej, fizyki, geofizyki, matematyki i prawa. Absolwenci tych kierunków zobowiązani są podjąć pracę zgodnie z planami zatrudnie-

Dokończenie na str. 6

Amatorstwo autentyczne

Maciej Podgórski

ASSUNTA znaczy — z włoskiego — *podniesiona, wniebowzięta.* Lecz *Assunta* — to także poema Norwida, raczej miłosne, a zarazem imię głównej bohaterki dzieła. Na inscenizację utworu pokusiła się w roku 1966 grupa młodych ludzi, działająca przy Cechu Rzemiosł Różnych w Kraśniku. Nie wyszło. Ale odtąd — jakby na przekór — zaczęli nazywać swój amatorski teatr poezji imieniem bohaterki Norwida. Zresztą teatrzyk istnieje oraz żwawo działa już od 1964 roku i — oczywiście — przede wszystkim nie „klapy" zapisuje na swoim koncie, skoro do chwili obecnej ma zaliczone siedemnaście premier, uczestnictwo w rozmaitych przeglądach i festiwalach, dyplomy, wyróżnienia i nagrody, jak choćby na wojewódzkim festiwalu amatorskich teatrów poezji w Lublinie (6—8 czerwca 1969).

Amatorskiemu teatrowi poezji *Assunta* z Kraśnika mam zamiar oddawać tutaj sprawiedliwość oraz podnosić jego zasługi. Ale jeszcze nie w tym momencie. Wpierw bowiem skłonny byłbym głośno pomyśleć o sprawach nieco ogólniejszych, acz z ruchem teatrzyków poezji związanych.

Oglądałem mianowicie zeszłoroczny, a wspomniany już festiwal, oraz przegląd teatrów miejskich Lublina. I ośmielam się twierdzić, że pojęcie amatorskiego teatru poezji, jakim posługują się w praktyce animatorzy ruchu, jest stanowczo za szerokie. Nie idzie o różnicę poziomu konkretnych zespołów, lecz o ich status.

Oto wychodzi na estradę pań i panów kilkoro, pracujących w jednym zakładzie, ubranych odpowiednio w zwyczajne suknie i garniturki, stają półkolem i nie ruszając się cały czas z miejsca, z ponurym patosem na nieruchomych obliczach wyrecytowują składankę tematyczną wierszyków. Rozumiem i wybaczam wiele rzeczy — iż gdy jedna z solistek gaworzy przez nos, a drugi chrypi, to reszta stoi i się męczy, zaś „przewodnik" co chwila dyskretnie przeciera spocone czoło i krogulczym spojrzeniem wywołuje następnego solistę, który myli się i jąka, słucha podpowiedzi, kiwa z nogi na nogę, a trzewiki mu skrzypią. Albo inny przypadek — na scenie rozsiada się grupka uczennic i uczniów z jednej szkoły, w strojach stylizowanych pod epokę Chopina, bo na jego „temat" będą recytować wiersze. Nic się właściwie nie dzieje, poza tym, że dzieci kolejno wstają, aby „odwalić" swoje kwestie, po czym siadają, a w tak zwanym międzyczasie ktoś „ilustruje" muzycznie.

Rozumiem i wybaczam nawet to, że w obu przypadkach, jak i w wielu innych, króluje ckliwy model recytacji patetyczno-romantycznej. Tak jakby nie wiadomo było, iż dziś, po doświadczeniach poetyckich XX wieku, żadnej poezji nie powinno się tak odtwarzać, jeśli recytację traktuje się jako indywidualne, ale zarazem współczesne odczytanie tekstu. Echa tej sprawy wyraźnie brzmią w stwierdzeniu Zofii Małynicz, jeszcze z dwudziestolecia, à propos tekstów Czechowicza: *dla tego gatunku poezji aktorzy musieliby wyzbyć się głosu odpowiedniego do tekstów romantycznych, dziś wraca ta tendencja do beznamiętnego mówienia.* Oczywiście, wracała wtedy pod wpływem twórczości Awangardy. Wracała — ale nie dotarła widać do świadomości współczesnych recytatorów.

Ciekaw jestem tylko, czy — skoro większość członków ruchu to młodzież — ów „romantyczny" styl recytacji świadczy o staroświeczyźnie ich nauczycieli, czy też ma źródło w aktualnych skłonnościach młodego pokolenia do postawy tkliwego kwiecia, rozsypującego płatki uczuć po tym zracjonalizowanym i zbrutalizowanym padole, którą to pozę na przykład w rozmaity sposób ujawnia młodzieżowe muzykowanie i czego z kolei przykładem — sam Grechuta.

Ale pomińmy tę kwestię, darujmy też amatorom recytacji wspomniane poprzednio niedostatki „głosowe". Zostaje pytanie, czy zespół

Dokończenie na str. 5

DZIEŃ W „POLONII"

Romuald Wiśniewski

DZIEŃ zaczął się dość oficjalnie, bo zaraz rano zjawiła się zapowiedziana uprzednio delegacja Towarzystwa „France — Pologne" w osobach sekretarza generalnego pana Krakowiaka, Polaka z pochodzenia, oraz pana Perre'a dziennikarza, Francuza. Pan Krakowiak mieszka w Paryżu, mówi łamanym językiem francusko-polskim. Delegację interesują sprawy aktywizacji produkcyjnej kobiet.

Witold Goetzen, sekretarz generalny Towarzystwa Łączności z Polonią — „Polonia", bardzo jest rad tej wizycie. Znaczna część polskich zespołów artystycznych działających we Francji należy do „France-Pologne". W zespołach tych występuje coraz więcej rdzennych Francuzów. Zresztą tak jest nie tylko we Francji. Polonijne placówki kulturalne stają się obiektem zainteresowań i tych ludzi, których z Polską nie łączą więzy krwi, a jedynie sympatia. Toteż w październiku 1967 roku Towarzystwo podjęło uchwałę o utrzymywaniu kontaktów nie tylko z organizacjami polonijnymi, ale i zagranicznymi.

Panowie Krakowiak i Perre dziękują przy okazji rozmowy raz jeszcze za pokrycie przez „Polonię" kosztów pobytu trzech zasłużonych działaczy „France-Pologne" na wczasach w Polsce. Dwóch było Polakami, trzeci Francuzem.

Delegaci wyszli, sekretarka wnosi plik korespondencji. Nadawcą pierwszego z wierzchu listu jest pani Patrycja Wszędybyl, prezeska zespołu folklorystycznego „Kalina" z Pont-a-Nousson we Francji, który już dwukrotnie był w Polsce. Major w stanie spoczynku Michał Wojnisz z Belgii, kombatant z dywizji generała Maczka, donosi o powiększeniu swych zbiorów o nowe eksponaty. Dom majora to prawdziwe muzeum historyczne i etnograficzne, z cennym działem mówiącym o życiu Polaków w Belgii. Każdy gość z kraju jest tam chętnie widziany i oprowadzany po zbiorach. I znów kolejny list. Pani Jadwiga Maltese z Tunezji, nauczycielka, pisze o swej pracy i o tym, jak w chwilach pozalekcyjnych zaznajamia młodych Tunezyjczyków z Polską. Kilku jej uczniów podjęło dalszą naukę właśnie w Polsce...

Teraz sekretarz „Polonii" przejrzy teczkę z materiałami do kalendarza Towarzystwa na rok 1971. Cztery główne tematy kalendarza to: 50 rocznica III Powstania Śląskiego, wstępne przygotowania do 500-lecia urodzin Kopernika, Ziemie Zachodnie i Północne oraz główne polskie surowce eksportowe — węgiel, siarka i miedź. Kalendarz wydawany jest po polsku, z cienką wkładką w języku francuskim i angielskim. Nakład 20 tys. egzemplarzy jest niewspółmiernie mały w stosunku do 12 milionów Polaków i osób pochodzenia polskiego, mieszkających poza Polską i spragnionych drukowanego słowa z Polski. Niestety, na więcej „Polonia" nie ma papieru.

Pan Goetzen przeprasza, nie będzie mógł zaznajamiać mnie dalej

Dokończenie na str. 8

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

✡ Janusz Warnecki, aktor, reżyser i pedagog, jeden z wybitnych przedstawicieli polskiego teatru radiowego i telewizyjnego. W czasie okupacji współpracował z podziemnym Instytutem Sztuki, po wojnie pracował w Krakowie i Warszawie. Odznaczony był m. in. Sztandarem Pracy II klasy.

✡ 97-letni brytyjski historyk, filozof i działacz społeczny lord Bertrand Russell. W 1950 r. otrzymał nagrodę Nobla za prace w dziedzinie literatury. Wielokrotnie występował przeciw wojennej polityce USA. Jest autorem ponad 60 książek.

✡ 67-letni pisarz amerykański Murzyn Horace R. Cayton. Jego książka „Black Metropolis", omawiająca stosunki rasowe w Afryce i w USA, stała się bestsellerem.

Literatura

✡ Z udziałem naukowców w Krakowie odbyło się otwarte zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej Oddziału ZLP. Dyskutowano nad uchwałami II i IV Plenum KC PZPR.

✡ 13 lutego zakończył się w Płocku VIII Ogólnopolski Festiwal Poezji im. Władysława Broniewskiego.

✡ Z okazji stulecia urodzin Wyspiańskiego PIW wydał bibliofilską książkę „Poezje" z rysunkami poety. Obok liryków znajdują się tam także fragmenty utworów dramatycznych.

✡ „Kultura" ogłosiła konkurs na opowiadanie dla członków kół młodych przy oddziałach ZLP. Opowiadania do 12 stron tekstu należy przesyłać do 30 marca.

✡ Aleksander Baumgardten pisze powieść, poświęconą dziejom wszystkich trzech powstań śląskich. Roboczy tytuł — „Wyszywane orły".

✡ Jan Brzoza ukończył powieść „Saga proletariacka", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Śląsk. Są to dzieje rodziny robotniczej na przestrzeni trzech pokoleń, od czasów popańszczyźnianych po dni dzisiejsze.

✡ Na podstawie paczki odnalezionych a niedoręczonych listów z okresu Powstania Warszawskiego Jerzy Kasprzak, jeden z członków organizacji „Zawisza", napisał ciekawą książkę „Tropami powstańczej przesyłki", którą wydał „Czytelnik".

✡ Radiowa powieść „Matysiakowie" ma już ponad 700 rozdziałów. Gdyby je wydać, powstałaby książka objętości ok. 11 tys. stron.

✡ W konkursie Zarządu Głównego Słowarzyszenia Twórców Ludowych, na który nadesłano 300 wierszy, pierwszą nagrodę otrzymał Piotr Krzykalski z Nowego Sącza, dwie drugie nagrody Hanka Nowobielska z Białki Tatrzańskiej i Jan Nadolny z Wielbarka, dwie trzecie Stanisław Gąsienica-Byrcyn z Zakopanego i Jan Pocek z Kalenia. Ponadto przyznano 13 wyróżnień.

Teatr

✡ Teatr Ludowy w Nowej Hucie wystawił polską prapremierę sztuki Szekspira „Król Jan" w adaptacji Friedricha Dürrenmatta i w przekładzie Zbigniewa Krawczykowskiego. Reżyserowała Irena Babel.

✡ Po 4 latach zakończyła się generalna przebudowa sali Teatru im. Jaracza w Łodzi. Otwarcie tej sceny zainaugurowano wystawieniem „Irydiona" Krasińskiego w reżyserii Jerzego Grzegowskiego.

✡ W jednym z ocalałych jeszcze budynków po dawnych halach targowych w Paryżu wystawiono „Ladacznicę z zasadami" Sartre'a z Sylwią Monfort w roli głównej. Nowość polega na tym, że daje się kolejno trzy przedstawienia, a widzowie mogą wchodzić i wychodzić kiedy tylko zechcą.

Sztuka

✡ W mieście Guanajuato, jednym z najważniejszych ośrodków kulturalnych Meksyku, odbył się Tydzień Kultury Polskiej.

✡ Zespół Pieśni i Tańca Związku Zawodowego Metalowców „Rzeszowiacy" wyjedzie do USA, dając szereg przedstawień w ośrodkach polonijnych.

✡ Mało kto wie, że istnieje doroczna nagroda Fundacji Churchilla „za wkład w rozwój współczesnego dorobku plastycznego W. Brytanii". Tegorocznym laureatem został polski artysta-plastyk zamieszkały w Anglii, były pilot wojskowy z II wojny światowej — Stefan Knapp. Przed kilku laty w Polsce odbyła się wystawa jego prac.

✡ Takiej wystawy jeszcze nie było: w Luwrze zgromadzono 130 obrazów i rysunków Rembrandta. Obok tego 130 obrazów jego uczniów. To prawdziwa uczta artystyczna dla miłośników sztuki.

✡ W delcie Nilu odkryto posąg jednego z ostatnich faraonów egipskich — Khebera Ka Rea. Stało się to sensacją archeologiczną.

✡ We wsi Karanowo w Bułgarii odkryto wiele glinianych monet z IV i III wieku p.n.e. Są to pozostałości przedhistorycznej kultury Traków.

Muzyka

✡ VIII Międzynarodowy Konkurs Chopinowski odbędzie się w Warszawie w dniach 7—25 października. W pierwszych dniach marca w Filharmonii Narodowej odbędą się eliminacje polskich kandydatów.

✡ Państwowe Wydawnictwa Muzyczne wydadzą w tym roku 380 tytułów w nakładzie 1313 tys. egzemplarzy. W ciągu poprzednich 24 lat wydały one 7387 tytułów w łącznym nakładzie prawie 25 mln egzemplarzy.

✡ W Londynie ukaże się wkrótce 20 nieznanych piosenek kompozytora greckiego Theodorakisa, napisanych przez niego w czasie, gdy przebywał jeszcze w areszcie domowym.

✡ Według wiadomości z Afryki Południowej ma tam być wystawiona komedia muzyczna, w której główną rolę będzie grał dr Barnard. Akcja przewiduje oczywiście (pozorowaną) operację serca.

Film

✡ Wytwórnia Filmów Oświatowych podejmuje produkcję filmów o Koperniku, Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, a zakończyła film „Do końca przerwy pozostało 13 minut" — o łódzkim Teatrze Wielkim.

✡ Reżyser radziecki Teodor Wolfowicz przygotowuje kolorowy szerokoekranowy film „Wysłannicy wieczności". Jest to opowieść o tym, jak Lenin i inni działacze w okresie Rewolucji Październikowej dbali o zabezpieczenie bezcennych skarbów kultury.

✡ W Kijowie powstaje „Rodzina Kociubińskich" — film o rewolucyjnych tradycjach ukraińskiej inteligencji na przykładzie rodziny pisarza Michała Kociubińskiego i jego syna Jurija.

✡ W Paryżu odbyła się prapremiera filmu Pasoliniego „Medea", w którym jako aktorka filmowa wystąpiła po raz pierwszy Maria Callas. Z tej okazji znaleźliśmy w prasie paryskiej takie ogłoszenie: „Z wszystkich krańców Europy, a także z Warszawy (!), zakupiono bilety"...

✡ Nie jestem manekinem, który będzie stał tam, gdzie go postawią, każda rola powinna być pisana z myślą o mnie — oświadczyła Anna Magnani, która od 7 lat nie występuje już przed kamerami.

✡ Szwajcarski Stadtheater z Berna wystawił „Antygonę" w nowej wersji Carla Orffa. Jest to właściwie deklamacja głosem śpiewanym, akcentuje się wyłącznie tekst, akcję tylko markuje. Orkiestra składa się z dwóch fortepianów, dwóch harf i kilku kontrabasów, muzyka jest dostosowana do jednakowego rytmu tekstów.

Różne

✡ Jak dotychczas Polska zawarła umowy kulturalno-naukowe z 18 krajami Azji, Afryki i Ameryki Południowej, w przygotowaniu są umowy z Meksykiem i Syrią.

✡ W roku ub. statystyczny mieszkaniec woj. gdańskiego wydał na zakup książek 64 zł — niemal dwa razy więcej niż mieszkaniec woj. lubelskiego.

✡ Z wystawy w Dublinie skradziono maskę pośmiertną Jamesa Joyce'a. Drugi egzemplarz znajduje się w muzeum w Zurychu.

✡ Na zakończenie obchodów 500 rocznicy urodzin Erazma z Rotterdamu, w Holandii ustanowiono nagrodę 150 tys. florenów dla działaczy w walce o pokój. Odbyła się też prapremiera utworu muzycznego „Erasm i Monumentum" kompozytora szwajcarskiego Franka Martina.

✡ Telewidzowie niektórych okręgów w Szwajcarii mają nowe kłopoty. Dzięki nowoczesnym aparatom mogą odbierać 6 różnych programów telewizyjnych, w tym 3 kolorowe. Podobno dochodzi do dużych nieporozumień rodzinnych, jaki program wybrać.

✡ Przed sądem w Lucernie stanął właściciel dużej galerii Anton Achermann. Oskarżony jest o to, że wśród 170 obrazów wielkich mistrzów, które wystawił, 113 było fałszywych.

„Kamena" zamieszczała przez dłuższy czas mniej lub bardziej roznegliżowane aktorki. Niestety, skończyło się. Teraz pismo prezentuje ubranych młodzieńców. Wcale to się nie podoba ani mnie ani moim kolegom. Czy nie możecie wrócić do dawnych zdjęć?" — zapytuje nas p. Zygmunt Ostrowski z Lublina. Zastanowimy się. Na razie publikujemy zdjęcie wykonane przez Anatola Weczara, które — być może — w pełni usatysfakcjonuje p. Ostrowskiego i jego kolegów.

Z brulionu lektora

Nauka i pomoc

65 ROCZNICA urodzin Władysława Gomułki skłania do lektury jego przemówień. Język I sekretarza KC PZPR jest bardzo prosty, zrozumiały przez wszystkich obywateli. Władysław Gomułka nie idzie na popularność. Uważa, że trzeba mówić całą prawdę i tylko prawdę, choćby ta prawda była bolesna. Wiele myśli I sekretarza nie pokrywa patyna czasu. Gdy na przykład czytamy przemówienie wygłoszone w maju 1945 r. na temat uchwał majowego Plenum KC PPR, odczuwamy, że tak mógł tylko zabierać głos doświadczony polityk, wybitny mąż stanu, który żyje zarówno dniem dzisiejszym, jak i dniem jutrzejszym swojej ojczyzny.

Wojna — mówił wówczas Władysław Gomułka — *o pokonanie Niemiec hitlerowskich i ich satelitów trwała przez pięć i pół lat, zanim została zwycięsko zakończona. Walka o likwidację wpływów reakcji na życie polityczne i stosunki społeczne poszczególnych narodów i całego świata, czyli walka o trwały pokój między narodami, może trwać całe dziesiątki lat, nim zostanie zwycięsko zakończona. Zajmie ona cały długi okres historyczny. Główna trudność w tym, aby siły demokratyczne, które po kapitulacji Niemiec i rozbiciu faszyzmu osiągnęły na całym świecie przewagę nad reakcją, nie pozwoliły sobie tej przewagi wydrzeć, czyli aby umiały ją wzmacniać. Do tego celu konieczne jest kontynuowanie polityki frontów narodowych, czyli jednoczenie sił demokratycznych. Jeśli by bowiem przewaga przesunęła się z powrotem w ręce reakcji, wówczas świat stanąłby w obliczu nowego, jeszcze straszniejszego kataklizmu dziejowego aniżeli kataklizm drugiej wojny światowej. Kto zrozumie to niebezpieczeństwo i równocześnie szuka środków dla jego zażegnania, ten zrozumie również linię polityczną partii marksistowskich, a więc i linię polityczną Polskiej Partii Robotniczej... Droga, na którą wprowadził naród polski zjednoczony obóz demokratyczny w Polsce, oparta jest na dwóch podstawowych filarach. Pierwszy filar naszej drogi — to wyrzeczenie się antysowieckiej polityki przez odrodzoną Polskę, czyli zwrot polskiej polityki zagranicznej o 180 stopni w porównaniu do oficjalnej polityki polskiej sprzed 1939 r. Drugi filar naszej drogi — to odrodzenie Polski w starych piastowskich granicach po Odrę, Nysę i Morze Bałtyckie...*

25 lat mija od wypowiedzenia tych słów. Dalej opieramy się i będziemy opierać na tych dwóch podstawowych filarach. One gwarantowały, gwarantują i będą gwarantować bezpieczeństwo i siłę naszej ojczyzny.

A myśli o samej partii? Jakże aktualne i dzisiaj jest to, co mówił Władysław Gomułka na I Zjeździe PPR, 12 grudnia 1945 r.:

Młodzi i nowi towarzysze mogą być nieraz i dzisiaj przykładem pracy dla starych towarzyszy. Musimy uczyć młodych i nowych członków partii, ale nigdy nie należy uważać, że od młodych starzy niczego nie mogą się nauczyć. Cała partia musi udoskonalać metody swej pracy, musi się uczyć na swoich błędach, musi działać jednolicie... W partii są różni członkowie. Bardziej zdolni i mniej zdolni, bardziej aktywni i mniej aktywni, bardziej ofiarni i mniej ofiarni. Starajcie się, towarzysze, równać zawsze w górę, a nigdy w dół. Wówczas będzie partia rosła, będzie się rozwijała, będzie wzmacniała swój kręgosłup ideologiczny, będzie mogła łatwiej sprostać wszystkim zadaniom. Są w naszej partii różni ludzie, lecz nie ma takiego człowieka, który by nie musiał uczyć się od innych towarzyszy, który by, jako jednostka mógł myśleć za partię i sam potrafił nakreślić dla niej słuszną linię polityczną. Wytknięta przez kierownictwo partii i zatwierdzona przez zjazd partyjny linia polityczna partii jest rezultatem pracy kierowniczego kolektywu partyjnego. Szkodliwa jest każda przesada w ocenie ludzi, niezależnie od tego, na jakim szczeblu partyjnym pracują, gdyż może odzwyczajać ludzi od samodzielnego myślenia, może stwarzać uczucie mniejszej odpowiedzialności. W pracy naszej partii obowiązuje zasada kolektywnego podejmowania wszystkich ważniejszych decyzji w każdym ogniwie organizacyjnym, gdyż tylko wówczas istnieją najmniejsze możliwości popełniania omyłek i błędów. Każdy towarzysz i wszystkie ogniwa partyjne w swojej pracy codziennej mają za przewodnika linię polityczną partii i kierować się winni zasadami nakreślonymi na zjeździe. Równocześnie jednak obowiązani są kontrolować zgodność linii partii z praktyką życia, winni zawiadamiać swoje zwierzchnie ogniwa kierownicze o wszystkich zjawiskach politycznych wypływających na powierzchnię życia, a mogących wpływać na kształtowanie się linii generalnej partii.

Ile w tych słowach realizmu. Ile troski o to, by partia stale była awangardą narodu, żyła tym, czym naród żyje. Ile troski o samych ludzi, o to, by wzajemnie uczyć się od siebie: młodzi od starych, starzy od młodych. I tak musi być zawsze, bo młodzi to przyszłość partii.

Słuchałem 6 grudnia 1947 r. na I Krajowym Zjeździe Związku Walki Młodych, który odbywał się w Warszawie w sali „Romy", przemówienia Władysława Gomułki do młodych. Padły wówczas piękne słowa: *Tak jak Związek Walki Młodych posiada wszystkie powody ku temu, by szczycić się metryką swych urodzin — tak Polska Partia Robotnicza ma wszystkie powody ku temu, by szczycić się Związkiem Walki Młodych. Zetwuemowski czyn, zetwuemowska walka i zetwuemowska organizacja zrodziły się bowiem z czynu i walki Polskiej Partii Robotniczej.* I dalej: *ZMW jest nam najbliższą i najdroższą organizacją młodego pokolenia Polski Ludowej. Wierzymy, że w jego szeregach wychowa się niemało przyszłych członków naszej partii, że wyda on z siebie najlepszych peperowców, którzy staną się spadkobiercami sławnych tradycji naszej partii, kontynuatorami naszego dzieła...*

W 10 lat później, w kwietniu 1957 r., Władysław Gomułka przemawiał na Zjeździe Konstytucyjnym ZMS. Był to okres niełatwy dla życia całego narodu. *Do naiwnych mrzonek* — mówił I sekretarz KC PZPR — *należą myśli i wyobrażenia, że skoro raz w jakimś kraju został obalony kapitalizm i jego miejsce zajął socjalizm, natychmiast potem, lub w krótkim czasie wszystkie szczytne idee socjalizmu wypłyną niejako automatycznie — szeroką falą na powierzchnię życia. Socjalizm rodzi się w walce starego z nowym, w walce klas, w walce z nawykami przeszłości w świadomości ludzkiej; w walce ideologicznej, w walce o sumienia i serca ludzkie. Ta walka jest nieuchronna, konieczna, nie do uniknięcia. W tej walce, często bezwzględnej, czysta idea socjalizmu styka się z brudem przeszłości i niekiedy może być tym brudem zaplamiona. Gdy się to zdarza, niektórzy ludzie, widząc plamę na socjalizmie, koncentrują na niej całą swą uwagę, zatracając przy tym z pola widzenia socjalizm. Nic dziwnego, że w takim przypadku socjalizm wygląda w ich oczach jak plama. I wówczas rozczarowują się do socjalizmu. Rozczarowują się sami i sieją zwątpienie w socjalizm wśród innych. Ale jak brud, który się znajdzie na ciele ludzkim, nie jest przyrodzoną właściwością tego ciała i zawsze go można zmyć, tak i — powstałe wskutek tysiąca przyczyn — plamy na socjalizmie nie są jego przyrodzoną właściwością i zawsze dają się usuwać. Plama na socjalizmie nigdy nie jest socjalizmem. Pamiętać o tym winna młodzież, a szczególnie działacze i organizatorzy Związku Młodzieży Socjalistycznej.*

Socjalizm rodzi się... w walce ideologicznej. Ten temat szeroko rozwijał Władysław Gomułka, wiele uwagi poświęcając problematyce inteligencji twórczej. *Nie chcemy literatury i sztuki wąskoprodukcyjnej i tematycznej* — mówił na XIII Plenum KC PZPR w maju 1961 r. — *Wypowiadamy się jednak przeciwko pomijaniu w sztuce problematyki pracy ludzkiej. Jesteśmy za ukazywaniem jej prawdziwego piękna i prawdziwego bohaterstwa... Dziś, kiedy mówimy o zaangażowaniu naszej literatury i sztuki, mamy także na uwadze niezaangażowanie w ogóle. Jest rzeczą oczywistą, że każdy twórca jest w coś zaangażowany. Pragniemy, aby nasi twórcy byli jak najbardziej zaangażowani po stronie socjalizmu i pokoju, aby swoją twórczością pomagali ludziom żyć i pracować, aby rozwijali i kształtowali ich ideowość, ich wrażliwość uczuciową i moralną, aby rozszerzali ich horyzonty intelektualne, aby środkami artystycznymi ukazywali ogrom naszych dokonań na froncie budownictwa socjalistycznego i wielkości perspektyw dalszego rozwoju Polski i całego świata socjalistycznego, aby z pełną pasją demaskowali naszych wrogów, świat imperializmu, jego antyludzkie, antypokojowe oblicze. Partia nie chce wtrącać się do spraw warsztatowych i nie zamierza dawać recept, w jaki sposób trzeba pisać książki lub realizować inne dzieła sztuki, ale jednocześnie partia popiera jak najbardziej twórczość realizmu socjalistycznego, twórczość głęboko ideową i reprezentującą najwyższy poziom artystyczny, zrozumiałą dla mas i masom służącą.*

A w trzy lata później, na XIV Zjeździe Związku Literatów Polskich w Lublinie, Władysław Gomułka jeszcze raz tę myśl rozwinął: *Nie chcemy mieszać się do spraw czysto pisarskich, warsztatowych... Nas interesuje przede wszystkim treść ideowa waszych utworów, ich sens społeczny i moralny. Partia dźwigająca na swych barkach odpowiedzialność za socjalistyczną przebudowę Polski nie może zrezygnować i nie zrezygnuje z wyrażania swych ocen, postulatów i wymagań pod adresem literatury.* Dodał również: *Żywa literatura nie może chować głowy w piasek przed ideologicznymi problemami naszych czasów, gdyż dziś dotyczą one każdego człowieka.*

Można cytować, ciągle odkrywając wielkie bogactwo myśli. Lektura kolejnych przemówień Władysława Gomułki stanowi doskonałą ilustrację epoki, w jakiej przyszło nam żyć, w jakiej przyszło działać naszej partii. W pracy lektorskiej warto sięgać do wydanego przez „Książkę i Wiedzę" w 1968 r. tomu „O naszej partii", którego autorem jest właśnie Władysław Gomułka. Będzie to i nauka i pomoc zarazem. Klucz do lepszego zrozumienia dni dzisiejszych.

MAJ

Za Bugiem

W BIAŁORUSKIEJ literaturze pięknej, jak widać z przeglądu numerów 10 i 11 czasopisma literackiego „Maładość", dominuje nadal tematyka historyczna, okres międzywojenny i przede wszystkim ostatnia wojna.

Okresu międzywojenego dotyczy powieść Kławdzi Kalina pt. „Zabaronienaja pieśnia", której druk rozpoczęto w numerze listopadowym. Bohaterem jest bardzo biedna białoruska rodzina chłopska, której życie przedstawione jest na tle rzeczywistości Polski sanacyjnej (biedna wieś, obok pański dwór, robotnicy leśni strajkują, ucisk narodowościowy). Powieść potrafi zaciekawić czytelnika. Autorka zna to życie z autopsji urodziła się bowiem w roku 1925 we wsi obwodu brzeskiego. W powieści są żywe dialogi. Język bohaterów indywidualizowany (jak trzeba, wtrąca też wyrazy polskie), wnikliwa psychologia postaci, szczególnie dzieci. Czytelnik, zaciekawiony dalszym losem bohaterów, z którymi bardzo szybko się zżywa, będzie czekał z niecierpliwością na dalsze odcinki.

Niezwykle zdarzenia z okresu okupacji faszystowskiej i ruchu partyzanckiego na terenie Białorusi przedstawia opowiadanie — reportaż historyczny dwu autorek Aleksandry Us i Aleny Uładzimirowej pt. „Na siemnaccatym kilamietry", („Maładość" nr 10). Obrazkami z życia w oddziale partyzanckim są krótkie opowiadania Hanny Krasnapierki „Czamu?" i „Kazaczki". O życiu w czasie wojny na tyłach opowiada szkic literacki W. Chomczanki pt. „Wialenyja sudaki".

Tematykę współczesną we wspomnianych dwu numerach „Maładości" obejmują krótkie szkice. A więc los starej kobiety ze wsi, która niańczy w mieście dzieci swego syna, a ponieważ nikt się nią tam nie interesuje, więc kobieta nie wytrzymuje i wraca na wieś. (A. Masarenka „Telebrama", „Maładość" nr 10). Albo sprawa rozwodu, na którym najgorzej wychodzi stary człowiek — dziadek, który kocha swe wnuki, ale nie może ich odwiedzać (W. Karamazau, „Dzied", „Maładość" nr 11). Są to obrazki z życia współczesnego człowieka, nie pogłębione psychologicznie, bez szerszego tła i większych uogólnień: po prostu obrazki.

Wiersze, drukowane w obu numerach „Maładości", to refleksje spraw dawniej przeżytych i widzianych, a najczęściej liryka miłosna i refleksyjna (liryka spokojna, często wynikająca z przeżyć i rozmiłowania się w otaczającej człowieka przyrodzie).

W każdym numerze są materiały poświęcone 100 rocznicy urodzin W. Lenina. Niewątpliwie zaciekawi czytelnika reportaż, oparty na wywiadzie z byłym telegrafistą Lenina, Michałem Nowikowem. Pochodził on z Białorusi, z okolic, gdzie urodził się również F. Dzierżyński, który zresztą zwerbował M. Nowikowa do pracy u Lenina. Wspomnienia Nowikowa, sformułowane przez U. Miażewicza, rzucają pewne dodatkowe światło na osobowość wodza Rewolucji Październikowej.

W cennej rubryce językoznawczej, którą prowadzą W. Martynau i A. Michniewicz, podano szkic o języku staroruskim oraz wiadomości o pochodzeniu 31 wybranych wyrazów białoruskich, z których a c h w i a r a, w i d e l e c, h w a l t o u n y, j e d n a ś ć, m o m a n t, p r y w i j e ł a, f i r a n k a, c e b a r, s z l a c h uważają autorzy za pożyczki z języka polskiego. Jeśli już jesteśmy przy polonikach, można również wspomnieć o tym, że polski humor cieszy się tu popularnością: w rubryce „Uśmieszki Maładości" umieszczono rysunki satyryczne J. Puchalskiego i K. Modzelewskiego.

M. Ł.

Zlikwidować czy nie?

Kryzys orkiestry Namysłowskich

Wiktor Łoboda

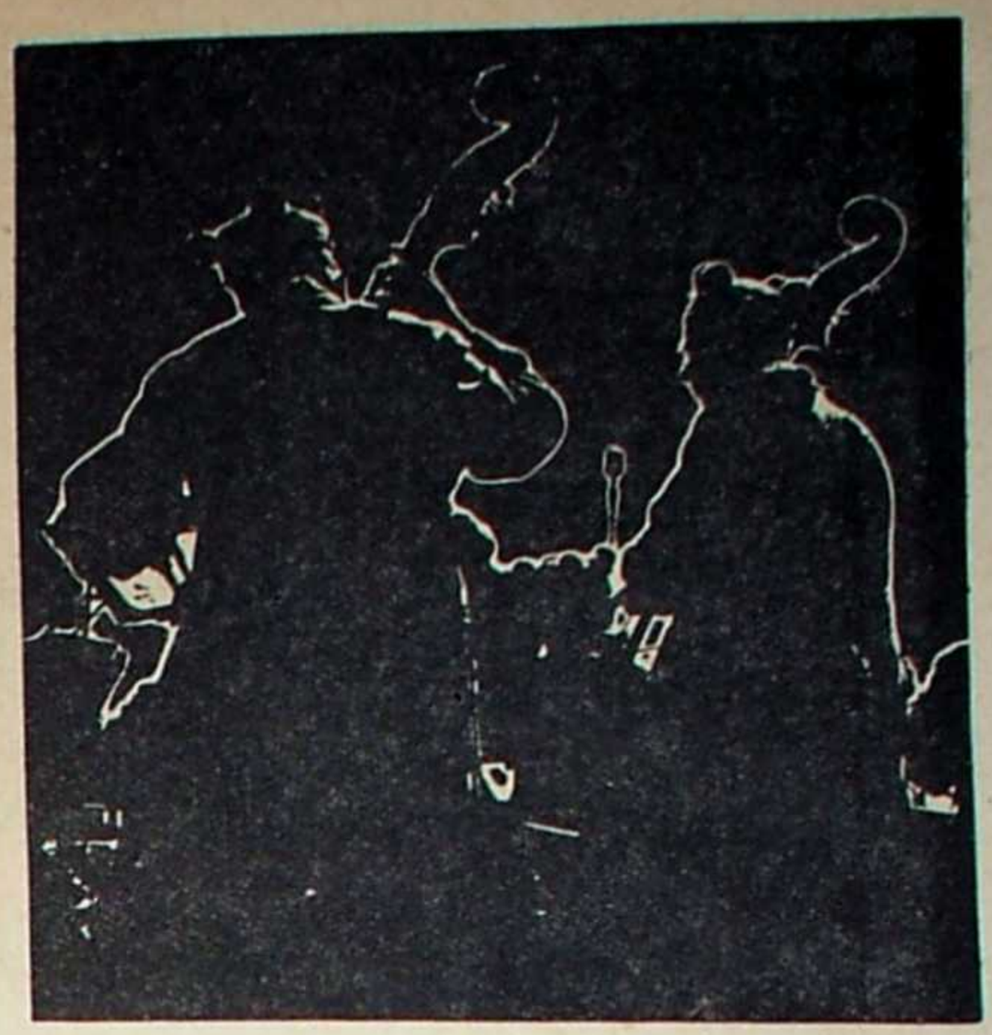

Fot. Z. Zugaj

GROŹBA likwidacji zawisła nad Włościańską Orkiestrą im. Karola Namysłowskiego. Nie jest to groźba natury administracyjnej. Nikt nie zamierza rozwiązywać tego zasłużonego dla kultury narodowej zespołu, występującego od roku 1880, jedynego w swoim rodzaju w Polsce. Władze kulturalne wszystkich szczebli darzą orkiestrę pełną przychylnością. Rzecz w kłopotach finansowych. Orkiestra działa na zasadach stowarzyszenia społecznego. Ma jednak prawo zatrudniania 40 pracowników etatowych. Etaty te zajmują muzycy, dyrygent i 2 pracowników administracyjnych. Orkiestra przeciętnie daje około 70 koncertów rocznie oraz 12 nagrań przed mikrofonami Polskiego Radia w Lublinie. Wpływy za bilety wstępu pokrywają tylko drobną część kosztów. Jeden koncert radiowy (10 minut nowości oraz 10 minut powtórki ze starego repertuaru) przynosi 3 tys. zł hononarium, natomiast pochłania ok. 6 tys. zł wydatków. Deficyt orkiestry pokrywany jest z dotacji wojewódzkiej wynoszącej 500 tys. zł rocznie. Niestety, jest to na dzisiejsze potrzeby za mało. Przeciętna płaca muzyka wynosi w orkiestrze około 1 200 zł miesięcznie. Nie wystarczy zatem na utrzymanie się. Muzycy dorabiają więc sobie gdzie indziej, przez co mniej czasu niż należałoby przeznaczają na pracę nad repertuarem orkiestry, a to z kolei powoduje obniżenie się poziomu, co w dalszej konsekwencji grozi zupełnym upadkiem zespołu.

Obecna orkiestra różni się składem osobowym zasadniczo od tej, która koncertowała pod batutą swego założyciela i patrona Karola Namysłowskiego, czy też batutą jego syna i następcy, Stanisława. Namysłowscy wyszukiwali utalentowanych synów chłopskich, uczyli ich grać i tworzyli z nich orkiestrę, która w chwilach wolnych od prac polowych prowadziła próby i koncertowała. Był to dla tych wiejskich chłopców niezwykły awans społeczny, możliwość rozwoju osobowego, poznania świata itd. Dziś na wsi nie znajdzie się już takich Janków-muzykantów. Jeśli który miał jakie takie zdolności, poszedł się uczyć do średniej szkoły muzycznej, czy nawet na studia wyższe. Toteż miejsce starych muzyków, odchodzących z orkiestry ze względu na wiek, można zapełnić jedynie absolwentami tych szkół. A ci — wiadomo, nie będą grać za darmo. Muzyka to ich zawód — i musi im dać utrzymanie. Połowa zespołu to właśnie już ci młodzi, wykształceni. To, że pochodzą z podzamojskich wsi i że w większości tam nadal mieszkają, nie ma znaczenia w ich wymaganiach co do uposażeń.

Druga połowa to już nie chłopi, a chłopo-muzycy, którzy dzięki swym zdolnościom i długoletniej pracy w orkiestrze osiągnęli nie gorszy poziom. I nie ma powodu, dla którego taki np. 76-letni Wacław Mazurek ze Starego Zamościa, rolnik na półtoramorgowym gospodarstwie, skrzypek, odznaczony za swoją działalność muzyczną Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, miałby cenić się gorzej od zabawowego grajka. W orkiestrze jest też zresztą i kilku młodych rolników, lecz ci uzupełniają swe wykształcenie muzyczne. 29-letni kontrabasista Stanisław Dziwura, rolnik gospodarujący na 3,6 ha we wsi Płoskie, uczy się zaocznie w liceum muzycznym w Lublinie, w tym roku będzie zdawał maturę; zamierza nadal pracować na roli i nadal grać — i normalne jest, że powinien otrzymywać za to taką zapłatę, jak inni muzycy o podobnych kwalifikacjach. Tymczasem, choć orkiestra posiada etaty i choć przepisy przewidują wyższe stawki dla muzyków, nie jest możliwe wypłacenie ich, podobnie jak nie jest możliwe płacenie muzykom dodatków za koncerty na wyjazdach, jak i dodatków rodzinnych.

Czyli, mówiąc prościej, w stosunku do muzyków łamane są podstawowe prawa pracowników, obowiązujące w naszym państwie pracodawców. Sprawą powinna zainteresować się prokuratura, gdyby nie to, że nie ma kogo oskarżać. Pracodawcą jest bowiem Stowarzyszenie „Włościańska Orkiestra im. Karola Namysłowskiego", liczące 45 członków. Czterdziestu z nich zaś jest etatowymi pracownikami. Mogliby zatem wystąpić sami przeciw sobie. WRN przyznaje im pół miliona złotych rocznie, sprawdza, czy kwota ta jest wydana zgodnie z jej przeznaczeniem — no i niech się rządzą jak chcą, zgodnie z przepisami o działalności stowarzyszeń.

Wszystko jest zatem w porządku, ale orkiestrze grozi uwiąd. Cóż dalej?

Prezydium PRN w Zamościu i zarząd stowarzyszenia zwołały do Zamościa naradę, zapraszając na nią nawet przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz redakcje kilku warszawskich pism. Może gołoledź, może co innego sprawiło, że z kilkunastu zaproszonych przybyło kilku. Ministerstwo przysłało pismo wyjaśniające swój stosunek do postulatu orkiestry, by ją upaństwowić. Stosunek negatywny. Liczba zawodowych teatrów, oper, filharmonii i orkiestr jest wystarczająca i Ministerstwo nie zamierza tworzyć nowych. Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie zaś ustami swego przedstawiciela poinformował, że kiesa wojewódzka nie jest w stanie dać orkiestrze większej dotacji.

Czyżby zatem Namysłowiakom istotnie groziło rozpadnięcie się? A może zespół ten odegrał swoją rolę w historii muzyki polskiej i nie jest już potrzebny? Może „Mazowsze", „Śląsk" i inne zepoły lepiej zaspokajają dzisiejsze potrzeby? Może nie ma szans na utrzymanie zespołu na reprezentacyjnym poziomie, skoro najzdolniejsi chłopscy synowie kończą studia i grają w filharmoniach, operach i innych czołowych placówkach? Czy stać nas na zwiększanie dotacji dla orkiestry mającej swą siedzibę na dalekiej prowincji, w Starym Zamościu?

Namysłowiacy nie obrażają się o te pytania. Wiedzą, że nie można ich traktować na równi z innymi. Zbyt długą i pełną zasług mają przeszłość i zbyt żywym zainteresowaniem cieszą się współcześnie. Występy ich mają zawsze znakomitą frekwencję. Recenzje sypią pochwałami, listy od sympatyków przychodzą z całej Polski i z zagranicy. Orkiestra nie jest zespołem regionalnym. Koncertuje w całym kraju, a jej lubelskie nagrania radiowe emitują potem wszystkie rozgłośnie. A to, że zespół mieści w Starym Zamościu, jest jego dodatkowym atutem — może sięgać korzeniami gleby, z której wyrósł. Jest autentycznie ludowy.

Przy tym wszystkim trzeba jednak powiedzieć, że zamojscy działacze zbyt biernie czekają na mannę z państwowego nieba. Orkiestra działa na zasadach stowarzyszenia, a zupełnie nie wykorzystuje możliwości, jakie dają te zasady. Każdy niemal z 45 członków stowarzyszenia zainteresowany jest materialnie w istnieniu orkiestry. Dlaczego jednak stowarzyszenie nie ma 5 czy 10 tysięcy członków wspierających? Dlaczego nie ma członków zbiorowych, jak GS, POM, kółka rolnicze, spółdzielnie produkcyjne, SOP i inne? Zespoły o wiele słabsze korzystają szeroko z tych form pomocy społecznej. Namysłowiacy, tak mocno tkwiący w tradycji naszej kultury ludowej, na pewno mogą liczyć na przychylność wsi polskiej. Rzecz jasna, jeśli odwołają się do niej, będą musieli zredukować nieco swe zapędy w kierunku muzyki klasycznej, zapędy zbyt wybujałe, bo nie w niej ich szansa.

Osobna sprawa to dyrygent. Nie wydaje się prawdopodobne, by można było znaleźć na stałe kogoś tej miary, co Karol Namysłowski, popopularny kompozytor, autor 193 utworów, czy też Stanisław Namysłowski, skrzypek — wirtuoz, który porzucił świetny angaż za granicą i przejął prowadzenie orkiestry. Niewątpliwie jednak można by skłonić jednego z czołowych mistrzów batuty, by raz na kwartał przyjechał do Zamościa na konsultację. Naturalnie, nie za darmo.

Wszelkie więc sprawy dotyczące dalszej przyszłości orkiestry Namysłowskiego zahaczają o pieniądze. O te 200—300 tys. zł dodatkowo rocznie. Ale nie tylko o pieniądze. Także i o konieczność większej przedsiębiorczości ze strony zamojskich działaczy kulturalnych.

Szczecińskie dekady przyjaźni

Fot. Z. Dmochowski

— Już od czterech lat Szczecin łącznie z wieloma miastami powiatowymi jest gospodarzem oryginalnych i społecznie potrzebnych imprez: dekad kultury niektórych europejskich krajów socjalistycznych. Jaki jest rodowód tych imprez, które w życiu politycznym i kulturalnym nadmorskiego grodu zdobyły sobie pełnię obywatelstwa? Z tym pytaniem zwróciliśmy się — prezentując w naszym cyklu dzień dzisiejszy zachodniej Polski — do redaktora naczelnego „Kuriera Szczecińskiego", Zdzisława Czaplińskiego. Wychodziliśmy z założenia, że Lublin mógłby w pewnej mierze skorzystać z doświadczeń szczecińskich. Uważamy, że warto zainteresować nimi nasze placówki kulturalne i lubelskie redakcje.

— Społeczeństwo Ziemi Szczecińskiej swoją strukturą wieku należy do najmłodszych w kraju. Jest ono chłonne wiedzy o problemach współczesnego świata, a wiedzy o bratnich europejskich krajach socjalistycznych w szczególności. W portowym mieście dochodzi bardzo często do styku z ideologią i kulturą różnych kontynentów; sprawa ideologicznej dywersji nabiera w naszych warunkach zupełnie innego, praktyczno-ludzkiego charakteru. Potrzeba więc konfrontacji postaw ludzkich, prezentacji dorobku gospodarczego i kulturalnego zaprzyjaźnionych z nami krajów socjalistycznych wydała się nam bardziej nieodzowna niż w innych regionach kraju.

Z tego też względu, mając również na uwadze interesy gazety, redakcja „Kuriera Szczecińskiego" poświęca wiele — jak na swoje możliwości objętościowe — miejsca problematyce krajów socjalistycznych. Doszliśmy jednak w redakcyjnym kolektywie do wniosku, że sama tylko działalność publicystyczno-informacyjna nie zaspokaja zapotrzebowań społecznych.

W tej sytuacji zrodziła się koncepcja wzbogacenia wachlarza form oddziaływania, zmierzających do systematycznego zaznajamiania naszego społeczeństwa z historią, dniem dzisiejszym i jutrzejszym zaprzyjaźnionych z nami krajów Europy, budujących socjalizm. Koncepcja ta zmierzała w swoich założeniach do przedstawienia szczecińskiemu społeczeństwu — w cyklu imprez, spotkań, wystaw, koncertów, odczytów, przeglądów filmów itp. o charakterze poznawczo-popularyzatorskim i rozrywkowym — dorobku politycznego, gospodarczego i kulturalnego niektórych europejskich krajów socjalistycznych.

Na początku 1967 r. zwróciliśmy się z tą propozycją do ośrodków kultury i ambasad w Warszawie: Węgier, Czechosłowacji i NRD. Równocześnie zasugerowaliśmy Domowi Kultury Radzieckiej zorganizowanie specjalnych, całomiesięcznych Dni Kultury Radzieckiej z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Nasza inicjatywa spotkała się z serdecznym przyjęciem.

Po uzgodnieniu terminu przystąpiliśmy do przygotowań. Zasada organizacji dekad kultury opiera się każdorazowo na porozumieniu czterech głównych organizatorów: redakcji „Kuriera Szczecińskiego", Wydziału Kultury Prezydium WRN, Wojewódzkiego Domu Kultury oraz zainteresowanego ośrodka kultury i ambasady. Niezależnie od tych podstawowych organizatorów zakładaliśmy aktywne włączenie się do naszej imprezy licznych innych organizacji i instytucji: prasy, radia, TV, Wojewódzkiego Zarządu Kin, klubów środowiskowych, „Domu Książki", KMPiK, ZSP, Wojska Polskiego itp.

Nasza gazeta ze swej strony w okresie każdej dekady nasilała na swoich łamach problematykę informacyjno-publicystyczną o danym kraju, zamieszczając w każdym numerze specjalne korespondencje i fotoreportaże, organizując konkursy czytelnicze oraz kolumny wymienne, przygotowane przez gazety stale współpracujące z nami w ramach wymiany bezdewizowej.

Biorąc pod uwagę, że inicjatywa tego typu cyklu dekad w Szczecinie stanowiła krajowy precedens zarówno w zakresie koncepcji jak i organizacji, przyznać trzeba, że wszystkie zamierzenia zespołu organizatorów zostały w pełni wykonane, a organizowane imprezy cieszyły się dużym powodzeniem. W sumie w 1967 r. w Dekadzie Kultury Czechosłowackiej mieliśmy 13 imprez, Węgierskiej — 15, Bułgarskiej 10, NRD — 16 i w Dniach Kultury Radzieckiej — 43 imprezy z udziałem 130 tys. uczestników.

Przypomnijmy niektóre tylko imprezy i cykle imprez, organizowane w okresie Dni Kultury Radzieckiej z okazji 50-lecia Wielkiego Października. Eksponowaliśmy w Szczecinie w różnych salach, a głównie w salach Zamku Książąt Pomorskich, wystawę fotograficzną „50 lat ZSRR" (320 fotogramów); wystawę prac plastyka z Leningradu, Eugeniusza I. Paszkowa (90 eksponatów z różnych muzeów ZSRR i kolekcji własnej autora); pokonkursową wystawę rysunków dziecięcych, która zgromadziła 200 prac wyróżnionych przez jury konkursu „Kuriera" pn. „Mój kolega w Związku Radzieckim" i „Od Aurory do Łuny", wystawę plakatu filmowego ZSRR i z innych krajów o filmach radzieckich pn: „50 lat kinematografii radzieckiej"; wystawę filatelistyczną.

Na łamach „Kuriera Szczecińskiego" ogłosiliśmy cztery konkursy: dziennikarski — dla młodzieży szkół średnich i studentów pn. „Moje spotkania ze Związkiem Radzieckim", rysunkowy — dla młodzieży szkół podstawowych i przedszkoli, o którym już była mowa, czytelniczy pn. „Od Brześcia do Władywostoku" z 20 pytaniami konkursowymi i błyskawiczny konkurs o filmie radzieckim. W sumie w konkursach wzięło udział 5 300 osób, 82 spośród nich otrzymały nagrody.

Z imprez teatralnych i filmowych warto m. in. odnotować: „Wieczór satyry i piosenki radzieckiej", sztukę W. Rozowa pt. „Aranżer" w Teatrze Propozycji, „Wieczór rosyjskiej i radzieckiej poezji miłosnej" w Klubie „13 Muz", „Wieczór poezji radzieckiej" dla młodzieży w Sali Szwedzkiej Zamku, cztery wieczory filmowe połączone z dyskusją i prelekcjami krytyków filmowych z tygodnika „Ekran" w Klubie „13 Muz". W programie imprez muzycznych odbyły się: dwa koncerty „przy kawie i świecach", trzy koncerty Filharmonii Szczecińskiej im. Karłowicza oraz dwa „spotkania czwartkowe" w Sali Szwedzkiej Zamku.

Doświadczenia 1967 roku pozwoliły organizatorom przy programowaniu dekad na lata następne znacznie wzbogacić treść i zasięg oddziaływania imprez dekad. Trzeba przede wszystkim podkreślić fakt, iż jeden z głównych organizatorów dekad — ośrodki kultury zainteresowanego kraju — dostarczające większość wystaw, filmów, zespołów artystycznych itp., bardzo ambitnie potraktowały szczecińskie imprezy. Dowodem chociażby przebieg Dekady Kultury Czechosłowackiej, w której bezpośredni udział brało 37 przedstawicieli oficjalnych ambasady i ośrodka, artystów, muzyków, plastyków, rzeźbiarzy, pisarzy i lektorów KC KPCz. W sumie odbyło się 51 imprez o różnym charakterze i 42 seanse filmowe.

Bogaty też był program kolejnych dwóch dekad kultury bułgarskiej. Godne były podkreślenia następujące imprezy: 10 wystaw w Szczecinie i w województwie z udziałem 17 500 zwiedzających, 9 spotkań różnego rodzaju z udziałem 2 000 osób, przegląd filmów bułgarskich z udziałem około 10 000 widzów, koncerty zespołu estradowego radia i TV Bułgarii pod kierownictwem I. Aleksandrowa w Szczecinie z udziałem 6 200 widzów.

Również redakcja zmieniła w roku 1968 formy konkursów. Zamiast lapidarnych 10 czy 20 pytań i odpowiedzi o danym kraju, przyjęliśmy koncepcję konkursu dziennikarskiego i fotograficznego pt. „Moje spotkania z CSRS", „Moje spotkania z Bułgarią" itp. Konkursy te cieszyły się dużym zainteresowaniem, a poziom nadsyłanych prac był wręcz zaskakujący. Wiele z tych nagrodzonych prac i fotogramów było publikowanych na łamach „Kuriera". Wiele z nich wzięła do przedruku redakcja „Polska — Wschód" Interpressu. W 1969 i 1970 r. przechodzimy natomiast na turnieje wiedzy o poszczególnych krajach na zasadzie eliminacji, uwieńczonych imprezą finałową. Warto tu jeszcze na marginesie odnotować aktywny udział kolegów — dziennikarzy z innych redakcji szczecińskich, którzy traktują dekady jako imprezy obchodzące całe środowisko dziennikarskie.

Szczecin przywykł już do dekad kultury europejskich krajów socjalistycznych, potraktował je jako integralną część całokształtu życia kulturalnego regionu. Nie zamierzamy więc rezygnować z ich dalszego organizowania, wręcz przeciwnie — chcemy je wzbogacić o nowe treści i rozszerzać o nowe formy. Skłania nas do tego nie tylko życzliwość ambasad i ośrodków kultury zainteresowanych krajów oraz konkretne społeczne zapotrzebowanie, lecz także naprawdę bezinteresowny i aktywny udział licznych szczecińskich współorganizatorów dekad, bez których takich rozmach i powodzenie tych pożytecznych imprez byłyby nie do pomyślenia.

W tym roku organizujemy dwie dekady. W marcu (1—10) Dekadę Kultury Czechosłowackiej, zaś w maju — Dekadę Kultury Węgierskiej (będzie to czwarta z kolei).

Zdzisław Czapliński

SPADANIE Z NIEBA

Andrzej Kuźmierkiewicz

Fot. A. Polikowski

JEDNEGO dnia spadł ptak na brązową ziemię i podrygiwał rozpaczliwie między skibami. Nawet nie wiedziałem, który strzał był dla niego, bo w olszynce ciągle rozbrzmiewały strzały Niemców, którzy tam ćwiczyli oczy i ręce. Żaden z nich nie wybiegł z zarośli, żeby podnieść ptaka. I ptak leżał podrygując. Pewnie by leżał, aż by go jaki pies znalazł albo śnieg zasypał, bo mroźne powietrze z rana zapowiadało, że śnieg spadnie lada dzień. Ja bym go nie podniósł, najwyżej bym przykucnął obok i poczekał, aż się uspokoi. Ale nie tylko ja jeden widziałem, jak spadał z nieba. Przy drewnianej rynnie, biegnącej obok szyn kolejki wąskotorowej, stał piekarz z Josołówki i mył gumowe buty w gorącej wodzie płynącej z cukrowni. Zaraz zostawił w rynnie szczotkę i buty i pobiegł w tamto miejsce. Podniósł ptaka i, trzepoczącego się koło jego kolan, przyniósł do rynny i pochyliwszy się nad torem uderzył kilka razy jego główką o szynę, aż ptak ucichł. Położył go na ziemi i wrócił do rynny, ale buty pozostawione w wartkiej wodzie popłynęły w stronę olszynki. Więc pobiegł za nimi, sunąc ręką w wodzie. Spory kawał musiał przebiec, nim je wyłowił, za szczotką musiał biec jeszcze dalej.

Strzelanina w olszynce trwała. Na drodze i na ścieżkach wiodących w tamtą stronę stali żołnierze w hełmach omotanych siatkami i nie przepuszczali nikogo. Więc zawróciłem do Josołówki.

W Josołówce nic się nie działo, droga była pusta. Zobaczyłem wujka Janka, jak stał w drzwiach domu. Trzymał się kurczowo futryny i patrzył w stronę rzeki, którą zasłaniały gęste krzaki. Potem puścił futrynę i zataczając się i powłócząc nogami, przeszedł na drugą stronę drogi. Tam nawet nie schodząc do rowu, nawet nie kucając, spuścił spodnie i wypiął się na dom, na drogę i na mnie. Więc odwróciłem się, bo wujek pewnie myślał, że go nikt nie widzi. Ale jego wszyscy widzieli i potem mówili do babci, a babcia ciągle odpowiadała, co ja poradzę, przecież on nie ma siły, żeby iść dalej.

Koło piekarni był bardzo głęboki rów. Nie było w nim żadnej wody, tylko łopiany obrastały jego strome brzegi. W jednym miejscu, dokładnie naprzeciw piekarni, wystawała ze ściany rowu brązowa rura, podobna do lufy armatniej wetkniętej w ziemię. Tą rurą od czasu do czasu wyciekała brudna woda z piekarni. Jeśli nic nie ciekło, to można było, trzymając ucho niedaleko ujścia rury, usłyszeć, co się dzieje na jej drugim końcu.

Pochyliłem się nad rurą i usłyszałem, jak śpiewa w niej Niemiec. Niemcy już drugi dzień piekli dla siebie ciasta i dlatego piekarz mógł spokojnie myć swoje buty. Drzwi piekarni były otwarte. Gdy się zbliżyłem do nich, usłyszałem ten sam śpiew, co w rurze. Najpierw przeszedłem koło drzwi. Zobaczyłem Niemca w białym fartuchu za piekarskim stołem. Stał twarzą do mnie. Zawróciłem i stanąłem naprzeciw niego. Niemiec śpiewał i wybijał jajka w kupę mąki sterczącą na stole. Gdy brał nowe jajko ze skrzynki, spoglądał na mnie i ja się pewnie uśmiechałem wtedy do niego, bo on bez przerwy śpiewał. Przerwał dopiero wówczas, gdy powąchał jedno jajko. Zrobił taką minę, jaką się robi po powąchaniu zbuka, i cisnął tym jajkiem w drzwi. Wszyscy zawsze mówili, że jestem za duży na swoje sześć lat i mieli rację, bo gdybym był mniejszy, jajko przeleciałoby nad moją głową, a tak — uderzyło mnie w brodę i spłynęło na mój najładniejszy niebieski szalik z wyszytym jeleniem. Niemiec zaniósł się śmiechem.

Cofnąłem się za mur. Żółte paskudztwo spływało mi po szaliku. Rozejrzałem się dokoła. Wujka Janka już nie było. Nad rynną z gorącą wodą z cukrowni kłębiła się zwiewna para. Piekarz jeszcze tam stał.

Przebiegłem pod ścianą piekarni, pochylając się przed oknami, żeby Niemiec nie widział, jak uciekam. Dobiegłem do rynny, gdy piekarz podnosił ptaka. Buty lśniące od wody trzymał w drugiej ręce. Jak przeszedł, zaraz wrzuciłem szalik do rynny i patrzyłem jak woda wymywa żółte farfocle. Szalik szamotał się i gdybym go puścił, popłynąłby aż do zbiorników za olszynką, w których stała biała breja parująca w zimne dni.

Potem powiesiłem szalik na krzaku. Nie mogłem odejść, bo by mi go kto ukradł, więc stałem przy rynnie i wdychałem mdłą, słodkawą parę. Taki sam zapach ciągnął się za chłopskimi wozami z wytłokami, przejeżdżającymi przez Josołówkę.

Stałem tak długo, a szalik wcale nie schł. Po torze przejechały dwa wagony zaprzężone w dwa konie. Konie waliły kopytami w podkłady i biegły, jakby wagony nic nie ważyły, a przecież były pełne buraków. Przed wojną podobne wagony ciągnęła mała lokomotywa, ciągnęła znacznie więcej niż dwa.

Już mi się zaczynało przykrzyć. Pomyślałem, że jakby jakiś pocisk z olszynki zabłądził i spadł na Josołówkę, to by nikogo nie zabił, ponieważ tak było pusto. Dzieciaki pewnie siedziały w domach, bo się bały chłodu, a dorośli mężczyźni od samego rana pochowali się w krzakach nad rzeką, bo się bali, że Niemcy z olszynki zrobią rewizję. W lato, wkrótce po tym, jak tu przyjechaliśmy, też było takie strzelanie w olszynce i wtedy właśnie spadł pocisk na Josołówkę. I od razu zabił chłopaka Ryśka i konia. Rysiek był dużo starszy ode mnie i co dzień żółtym furgonem zaprzężonym w tego konia woził chleb do osady i do osiedla. Nieraz wychodziłem na drogę daleko za Josołówkę i czekałem aż Rysiek będzie wracał. On zawsze zatrzymywał furgon i kazał mi właził na kozioł. Ale niedługo tak było. Potem mięso konia rozkupili ludzie, a wnętrzności oblane wapnem leżały na polu, dopóki nie wykopali dołu.

Kiedy myślałem o Ryśku i o koniu, przed piekarnię zajechał samochód ciężarowy. Widziałem, jak dwaj Niemcy wynosili z piekarni białe paczki, a trzeci stał na samochodzie i odbierał je od nich. Dopiero wtedy powyłaziły skądś dzieciaki. Stały koło samochodu i nawet ja poprzez szum wody słyszałem jak się drą, herbytekuchen, herbytekuchen. Krzyczały chyba głośniej niż mali Żydzi, którzy dwa lata wcześniej przychodzili na podwórko w Warszawie.

Z początku miałem ochotę pobiec tam, ale szalik był jeszcze mokry. Przypomniałem sobie, jak to niedawno jeden Niemiec, kiedy też tak wrzeszczałem herbytekuchen, dał mi do ręki dwa makowce owinięte w biały pergamin, a ja zaraz zacząłem biec z nimi do domu, lecz on mnie dogonił i zabrał makowce, bo on mi dał je tylko po to, żebym je zaniósł do samochodu. Wszyscy się bardzo śmieli ze mnie. Oni wszyscy wiedzieli, że nic nie dostaną, ale darli się tak, jakby w brzuchach od dawna nic nie mieli. Jak sobie to przypomniałem, odechciało mi się iść pod piekarnię. Po jakimś czasie samochód odjechał, a dzieciaki znów się porozłaziły.

Zobaczyłem mamę, jak wyszła przed dom i rozglądała się dookoła. Pewnie szukała mnie. Już był czas, żeby iść do domu. Strzelanie w olszynce ustało. Nawet trochę zmarzłem, ale nie chciało mi się wracać. W tym domu było strasznie niedobrze. Nawet nie było gdzie usiąść. Ale najgorzej było wieczorem, kiedy pan Zygmunt przychodził pijany i wymyślał swojej bardzo starej matce, która i tak już była nieszczęśliwa, ponieważ miała straszne wszy. Kiedy porozkładaliśmy nasze sienniki na podłodze i kiedy zgasło światło, było lepiej. Czasem budziłem się w nocy i słyszałem, jak wujek Janek kaszle na łóżku za szafą i pluje na podłogę, to znaczy na pana Zygmunta, który tam leżał, ponieważ swoje łóżko oddał wujkowi. Czasem pan Zygmunt, jeśli nie był bardzo pijany, budził się wtedy i głośno klął wujka, ale rano nigdy o tym nie pamiętał i nie gniewał się na niego.

Wujek coraz rzadziej wstawał z łóżka i coraz częściej mówił do babci, że mu nogi stygną. Do kolan były już podobno zupełnie zimne. Mnie nie pozwalał zbliżać się do swojego łóżka ani w ogóle zaglądać za szafę. Nie mówił już wcale o powrocie, tak jak na początku. Leżał tylko z zawsze otwartymi oczami, jakby się bał, że coś przegapi. Nawet we śnie ich nie zamykał.

Z początku pytałem go często, kiedy będziemy wracać, bo ciągle pamiętałem, co mi powiedział, kiedy uciekaliśmy z Warszawy bocznymi ulicami i ja w którymś ogródku zobaczyłem ogromne niebieskie makówki, już dobre do zerwania, i skręciłem tam, a wtedy wujek powiedział, chodź, nie mamy czasu, zrobisz to, jak będziemy wracać. Więc z początku pytałem ciągle i już nawet nie zależało mi na tych makówkach i na tym maku, co był w nich, bo już ktoś inny na pewno je zerwał. Z początku wujek odpowiadał, już niedługo, niech tylko Niemcy zaczną wiać. A potem przestał się odzywać, jakby nie słyszał. Jeszcze później zaczął mówić, że mu nogi stygną. Babcia wychodziła zza szafy z czerwonymi oczami. Mnie też było żal wujka Janka.

Myślałem tak o wszystkim naraz, czekając aż szalik wyschnie. Podczas tego myślenia zobaczyłem na drodze mojego białego koziołka, z którym tylko ja jeden mogłem chodzić wszędzie, gdzie chciałem, i mogłem z nim robić wszystko, a nikt inny nie mógł, bo innych się bał. Od razu się ucieszyłem. Koziołek szedł w moją stronę, ale jeszcze nie mógł mnie widzieć, bo zasłaniała mnie rynna. Więc czekałem, aż podejdzie bliżej, żeby go zawołać.

Pomyślałem sobie, że w taki dzień, kiedy wszyscy się pochowali, będziemy mogli pójść torem do samej rzeki i tam wejść na most, który był bardzo dziwny, ponieważ nie miał jezdni, tylko podkłady wiszące w powietrzu. Między podkładami były szerokie szpary, przez które widziało się płynącą wodę. Już raz chciałem wejść na ten most razem z koziołkiem, ale nas odpędzili robotnicy naprawiający tory. Mówili, że kozioł połamie sobie nogi na podkładach. Za mostem była brama cukrowni, przeważnie zamknięta, ale czasami stała otwarta i wtedy można było wejść na wielkie podwórze. Na pewno nikt by nie zauważył, że weszliśmy i może udałoby się zobaczyć, skąd wypływa ta gorąca woda bulgocąca w rynnie. A jakby brama była zamknięta, to i tak warto było przejść przez most, żeby zobaczyć, jak wygląda ten brzeg z tamtego brzegu.

Ale w tym samym czasie na drodze pokazało się kilka wojskowych wozów konnych. Konie biegły lekkim kłusem. Koło ich łbów wykwitały kłębki pary. Wozy wjechały do Josołówki, a gdy już były naprzeciw piekarni, poderwały się nagle i w ślepym galopie skręciły na łąkę okoloną drzewami, ciągnącą się do rzeki. Wtedy na niebie zaczęły rosnąć trzy samoloty. Leciały nisko nad drogą. Ciągle jeszcze nie słyszałem ich warkotu, bo woda w rynnie bardzo szumiała. Wozy pędziły dookoła łąki, cały czas pod gałęziami drzew. Samoloty przemknęły nad Josołówką. Wcale nie zauważyły wozów. Wkrótce odezwały się działa przeciwlotnicze. Samoloty rozproszyły się, a jeden puścił czarną smugę i raptownie spadł na drogę kilkanaście kroków ode mnie, zupełnie jak źle wyważony papierowy gołąb. Później się dowiedziałem, że to się stało kilka kilometrów dalej, a nie kilkanaście kroków, jak mi się zdawało.

Przez te samoloty zupełnie zapomniałem o koziołku. Jak sobie przypomniałem, już go nie było na drodze. Musiał się spłoszyć i schować gdzieś w krzakach.

LUBELSZCZYZNY dzień dzisiejszy

Otwarty dla każdego

Chociaż oficjalne otwarcie Zakładowego Domu Kultury w Puławach ma nastąpić dopiero za cztery miesiące, chociaż w budynku uwijają się jeszcze monterzy, elektrycy i malarze — praca już się właściwie zaczęła. Trzeba przyznać, że Zakłady Azotowe nie skąpią środków na uruchomienie tej tak potrzebnej placówki. Wprawdzie nie posiada ona jeszcze ściśle określonego budżetu, ale wszelkie potrzeby są z miejsca pokrywane.

Kierowniczką ZDK została pani Łucja Rasiewicz, długoletnia nauczycielka w Chełmie i przez pewien czas pracownicza tamtejszego PDK, a od kilku lat — po przeniesieniu się całej rodziny do Puław — zajmująca się praca kulturalno-oświatową w Azotach. Ma więc praktykę, jest pełna entuzjazmu i pomysłów, przejawia duży zasób umiejętności organizatorskich. Opiekunem zespołów i orkiestry zakładowej jest mgr Andrzej Banach, absolwent warszawskiej Wyższej Szkoły Muzycznej. Jest również 3 pracowników fizycznych, dalsze etaty są jeszcze nie obsadzone.

ZDK przejmuje kilka już istniejących zespołów — jazzowy „Pod piętnastką" (któremu patronuje ZMS), gitarowy „Izomery 69". Tworzy się drugi zespół gitarowy, złożony już wyłącznie z pracowników Azotów. 1 grudnia powstał zespół taneczny, którego instruktorem została pani Kazimiera Walczakowa, od kilkunastu lat kierowniczka słynnego zespołu z Końskowoli. Organizuje się grupa recytatorska.

— Dużo uwagi — mówi p. Rasiewicz — chcemy poświęcić dzieciom. To wypróbowany sposób, aby przyciągnąć także rodziców. Myślimy więc na początek o rytmice i zajęciach plastycznych dla najmłodszych. Potem o gimnastyce, specjalnie przystosowanej dla pracownic Zakładów. Która nie będzie chciała mieć pięknej sylwetki, harmonijnych ruchów? Potem chciałabym uruchomić coś w rodzaju studium wychowania estetycznego na co dzień, mam już nawet na oku kilku prelegentów. Myślę, że niedługo w naszej sali widowiskowej (150 miejsc) będziemy już mogli rozpocząć koncerty muzyki kameralnej, a w kwietniu na podsumowanie Roku Leninowskiego chcemy sprowadzić orkiestrę symfoniczną WSM z Warszawy, z którą ZA od dawna utrzymują kontakty. Chciałabym także zacieśnić naszą współpracę z Filharmonią lubelską, która już nie będzie musiała grać w stołówce. Mamy aparaturę nagłośniającą, w grudniu Zakłady zakupiły fortepian koncertowy, uzupełniamy drobniejsze instrumenty. W sumie, jak dotychczas, od Zakładów dostałam na inwestycje 77 tys. zł, Rada Zakładowa obiecała kupić stroje dla zespołu tanecznego. Będą, oczywiście, spotkania towarzyskie, które najpierw chcę urządzać dla poszczególnych wydziałów, potem już ogólne. Pragnę także wyjaśnić — dodaje kierowniczka — że wprawdzie jest to Zakładowy Dom Kultury, ale wstęp będzie dla każdego. Naszych gości nie będziemy pytali o legitymacje służbowe, natomiast domagamy się kulturalnego zachowania. (d)

Szkoły zdrowia

Powiat lubartowski chlubi się jedną z najsilniejszych organizacji Związku Młodzieży Wiejskiej w województwie. Zrzesza ona w swych szeregach prawie 3 tys. członków, z tego 4 tys. osób pracuje w rolnictwie, w POM, PGR i gospodarstwach indywidualnych. W gromadach działają 112 koła wiejskie i 18 zarządów gromadzkich. Połowę organizacji na tym terenie stanowią dziewczęta. Jeśli chodzi o wiek, to przeważa młodzież od 15 do 24 lat.

Ostatnio, przed IV Krajowym Zjazdem ZMW, w kołach i zarządach gromadzkich trwała kampania sprawozdawczo-wyborcza. Na zebraniach omawiano przede wszystkim projekt uchwały na IV Zjazd. Ponadto młodzież dyskutowała na temat „Czym jest i do czego dąży ZMW". Trwa podsumowanie konkursu — „Młody mistrz urodzaju" za rok 1969. Konkurs ten zakończy się powiatowym zlotem młodych rolników.

W związku ze Zjazdem nasiliła się akcja rekomendowania członków ZMW do PZPR i ZSL. Warto dodać, że już obecnie 249 członków ZMW należy do PZPR, a 178 do ZSL. Niezależnie od licznych, prowadzonych przez aktyw ZMW kursów oświatowo-politycznych, młodzież uczestniczy także w szkoleniu partyjnym.

Jedną z najciekawszych inicjatyw ZMW w powiecie lubartowskim są szeroko tutaj znane tzw. szkoły zdrowia, mające za zadanie podnoszenie oświaty i kultury sanitarnej w społeczeństwie wiejskim. Organizowane one są wspólnie ze stacją sanitarno-epidemiologiczną i miejscowym wydziałem zdrowia. O zainteresowaniu młodzieży tą forma pracy może świadczyć fakt, że na zaplanowanych 17, zorganizowano w powiecie lubartowskim 23 takich szkół. (mod)

Warunek: tarcza szkolna

Kazimierz nad Wisłą jest miejscowością, do której przyjeżdża się wypocząć, a także i zabawić. Miejscowa młodzież nie miała jednak za wiele możliwości rozrywki. Sytuacja zmieniła się ostatnio wyraźnie na lepsze. Uczniowie tutejszego Liceum Ogólnokształcącego zorganizowali świetlicę międzyszkolną. Urządzono ją w lokalu o powierzchni 112 m kw., który przez 20 lat służył za magazyn starych ławek, zniszczonych pomocy szkolnych i innych rupieci. Młodzież sama uprzątnęła pomieszczenie, malowała je i meblowała. Pomagali uczniowie ze Szkoły Rolniczej oraz z Technikum Mechanicznego. Ci ostatni dostarczyli potrzebnych elementów metalowych. Część pieniędzy zdobyła młodzież sprzedając makulaturę, część otrzymała z MRN. Trochę mebli ofiarowała świetlicy Miejska Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu. Kuratorium OSL zafundowało magnetofon, radio i telewizor. Prasę dostarcza stale Dom Wypoczynkowy RSW „Prasa"; placówka ta pomaga młodzieży w organizowaniu spotkań ze znanymi ludźmi ze świata kulturalnego, wypoczywającymi w Kazimierzu. W świetlicy prowadzone są też różnego rodzaju kursy, kółka zainteresowań i zespoły artystyczne. A w soboty, każdy uczeń szkolny może przyjść tu potańczyć. Nawet zamiejscowy. Pod warunkiem jednakże posiadania ważnej legitymacji i tarczy szkolnej. (r)

Osiem uniwersytetów ludowych

1 marca 1945 r. powstał w Rachaniach, pow. Tomaszów Lubelski, pierwszy na wyzwolonych ziemiach polskich Uniwersytet Ludowy. W końcu 1945 roku na Lubelszczyźnie istniało już sześć takich placówek, lecz w okresie centralizacji ruchu ludowego zawiesiły one swą działalność. Postępowe tradycje ruchu „wiciowego" podjął Związek Młodzieży Wiejskiej, który obecnie prowadzi osiem uniwersytetów ludowych. Jeden z nich działa w Gardzienicach pod Lublinem i specjalizuje się w kształceniu kadr dla wiejskich klubów kultury. Najmłodszy w kraju — bo powstały w 1964 r. — internatowy Uniwersytet Ludowy w Gardzienicach kompletuje dokumenty i materiały będące zalążkiem muzeum ruchu młodzieżowego na Lubelszczyźnie. O pomoc w gromadzeniu eksponatów uniwersytet zwraca się do byłych działaczy wiciowych i ludowych. (Ch. J.)

Co z nimi zrobić?

Chłopak dwudziestoletni. Z wyglądu przeciętny — szczupły blondynek z wąsikiem, ubrany w garnitur bez żadnych big-beatowych ekstrawagancji. Ale dziwny jakiś — przejęty swoją rolą, straszliwie stremowany, gdy ma mówić w szerszym gronie, a zarazem bardzo impulsywny, bezpośredni, kiedy ze mną rozmawia na osobności. Początkowo malował realistycznie, później abstrakcyjnie, teraz planuje powrót do realizmu, a „na najbliższy czas" chce odpocząć. Tak twierdzi. Trochę w tym pozy na artystę.

Leszek Kalinowski. Były uczeń klasy maturalnej jednego z liceów plastycznych na Lubelszczyźnie. Autor pierwszej w jego życiu wystawki plastycznej, otwartej 4 lutego w sali Cechu Rzemiosł Różnych w Kraśniku. W liceum nie poszło najlepiej. Koleżankę ponoć uderzył, miał przeprosić publicznie. Nie zdążył na te przeprosiny. „Zaspałem" — powiada. Kto wie, jak było? Zawiesili go w ostatniej klasie, z internatu wyleciał. Ja nie twierdzę, że niesłusznie. Wszystko to na wiosnę 1969 się zdarzyło.

Teraz przesiaduje u ojców na gospodarce, pomaga trochę. 7 km od Kraśnika. „Na własną rękę pogłębiam wiedzę plastyczną" — oświadcza. Chce zdobyć maturę w inny sposób. Jaki — nie bardzo wiadomo. Decyduje się raczej na pójście do wojska, bo już czas na niego. Albo... Sam nie wie.

Wystawka ujawnia, wedle mego skromnego rozeznania, talent z przyszłością. Może się mylę? Co z tym fantem zrobić? A raczej — coś warto by zrobić życzliwie, ale bez sentymentalizmu, fachowo się w tym rozpoznać i zadecydować. Najgorsze są sprawy nie rozwiązane, a ta nierozwiązywalna nie jest. MP

Zimny wychów

Pomysł, którego autorką jest p. mgr Zofia Rydz, był znakomity, a narodził się jeszcze na jesieni 1968 r. Otóż z okazji zbliżającego się 25-lecia PRL w Miejskim Domu Kultury zorganizowano cykl imprez oświatowo-rozrywkowych pod wspólnym hasłem „Pierwsze dni wolności". Były to spotkania czy prelekcje o ruchu oporu, organizowaniu władz lokalnych, życiu literackim i rozwoju prasy, rozbudowie szkolnictwa wyższego, ostatnio o problemach rozwoju przestrzennego Lublina.

Imprezy marcowe będą związane ze zbliżającą się rocznicą leninowską. A więc 1 marca zakończenie miejskiego konkursu wiedzy o Leninie, w dniach 20—22 marca przegląd teatralny amatorskich zespołów artystycznych, przygotowujących programy leninowskie, wieczornica szkoły aktywu ZMS i kilka innych.

Dodać należy, że na zasadzie i relaksu i ilustracji niemal wszystkie te imprezy urozmaicane są programami artystycznymi, dostosowanymi do zasadniczego tematu. Ostatnio np. „Lublin Warszawie" i „Legenda o Lublinie" w wykonaniu p. Zofii Pilarskiej.

Niestety, imprezy „Pierwsze dni wolności" — poza pierwszą — nie cieszą się zbytnią frekwencją. Dwa są tego powody. Po pierwsze: z braku drugiego palca w niedzielę, gdy odbywają się te najciekawsze, w sali Relaksu jest bardzo zimno. Po drugie: programy te, adresowane głównie do młodzieży szkolnej, trafiają w próżnię. Dosłownie ani jeden nauczyciel wychowania obywatelskiego nie zainteresował się sprawą, nie zachęcił uczniów do zapoznania się z problematyką, o której w podręcznikach jest bardzo mało, a która zwłaszcza w Lublinie powinna być dobrze znana. (d)

Dobra robota

Połowę z 48 lat pracy nauczycielskiej Filip Feliks Ryczek spędził poza ukochanym Kraśnikiem, w którym się urodził i wychował. Gdzieś w środku okresu międzywojennego losy rzuciły go pod Święciany, tuż po zakończeniu wojny rozpoczął pracę w Tczewie, gdzie był jednym z organizatorów polskiego szkolnictwa. Na stare lata — jak chyba przedwcześnie o sobie mówi — wrócił do Kraśnika.

A przedwcześnie dlatego, że wciąż jest pełen inicjatywy społecznej: obok pracy nauczycielskiej w liceum ogólnokształcącym w Kraśniku Fabrycznym znajduje czas na badanie i pisanie historii tego rejonu. Właśnie ukazał się jego informator turystyczny „Kraśnik i okolice", wydany przez krakowskie WAG, a sfinansowany przez Społeczny Komitet Aktywizacji Kraśnika Fabrycznego. Pożyteczna to książeczka — nie tylko dla turystów, ale i dla wszystkich mieszkańców powiatu. Są tam wiadomości o wszystkich niemal miejscowościach powiatu — historia, etnografia, gospodarka, kultura, geografia.

Filip Feliks Ryczek jest jednym z tych, o których się mówi: zakochany w regionie, Książeczka „Kraśnik i okolice" jest tego dobrym i trwałym przykładem. (d)

GŁOS WOŁAJĄCEGO NA PUSZCZY

Maria Bechczyc-Rudnicka

ADATTATORE — traditore! Wielki czas chyba tak oto zmodernizować dość stary już dowcip literacki, który we włoszczyźnie rymował zdrajcę — z tłumaczem. Dziś porzekadło to, niekiedy jeszcze cytowane, bez wątpienia krzywdzi szacunku godne różnojęzyczne rzesze fachowców trudniących się przekładami, w pełnym rynsztunku wysokich kwalifikacji. Po większej części są oni obecnie, obok pisarzy oryginalnych, członkami PEN-Clubu, a sam ten fakt jest dla ich zawodu zaszczytnym świadectwem. U nas w Polsce kłusownictwo przekładowe na terenach literatur obcych zaczynało zanikać już w okresie międzywojennym, który wydał m. in. takich znakomitych tłumaczy, jak Boy-Żeleński czy Aniela Zagórska. Dzisiaj zaś, kiedy mamy całe biblioteki świetnych przekładów PIW-owskich, gdy dostaliśmy do rąk „Ulissesa", chlubny wynik dwunastoletniej pracy Macieja Słomczyńskiego, powtarzanie owego „traduttore — traditore" pobrzmiewałoby na pewno fałszem, przynajmniej w zastosowaniu do prozy („tłumacze — zdrajcy" czają się jeszcze w kniejach tekstów wokalnych, lecz tych tekściarzy nazwijmy raczej łowcami tantiem).

Co innego „adattatori", przysposabiacze. Żyjemy przecie w ich erze. Adaptacje, „opracowania literackie", „opracowania muzyczne", wszelakie „aranżacje" mnożą się z zastraszającą żywiołowością. A lawiny tej, wbrew naturze, nie wprawiła w ruch odwilż, tylko popchnął ją z góry — o, paradoksie! — doping do „nowego odczytywania" klasyków. Tak było „na sektorze" literackim. Potem zadziałały też niedobory w dramaturgii i scenariuszopisarstwie filmowym, chęć przyswojenia filmowi bądź scenie wybitnych powieści, nowel, poematów, ba — reportaży, w końcu, niestety niesłychanej mocy nabrały bodźce materialne.

Nie jestem pryncypialnym, apriorycznym wrogiem każdej zapowiedzianej adaptacji powieści, zwłaszcza, gdy chodzi o film. Bardzo mi się wydała niesmaczna nagonka urządzona na Wajdę przy okazji ekranizacji „Popiołów": „zdrada", o którą go pomawiano, w istocie była właśnie brakiem zdrady w stosunku do ideologii Żeromskiego. W dziedzinie kinematografii mamy niemało dobrych adaptacji powieści, w Polsce i gdzie indziej. Wystarczy wymienić „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Popiół i diament", godne wszelkich pochwał adaptacje amerykańską i radziecką „Wojny i pokoju". Powieści nie absolutnie arcydzielne nawet zyskują częstokroć na ekranizacji, nabierają wyrazu, jako że film, rzecz wiadoma, rozporządza ogromem środków plastycznych. I tu by można przytoczyć legion przykładów, lecz po co, skoro chodzi mi w danym wypadku nie o „wiernych" (choć twórczych), tylko o „zdrajców", o wyżej wymienionych „adattatori — traditori".

Otóż właśnie ta kategoria „zdrady" artystycznej znajduje niestety najobfitszą pożywkę na gruncie teatru. Fenomen to całkiem naturalny. Aż wstyd mówić pewne najzupełniej proste rzeczy, trudno przecie bez tego się obejść. A więc: oczywiście teatr nie jest w stanie przekazać widzowi całego bogactwa refleksyjnego zawartego w powieści arcydzielnej, bo wpadłby nieuchronnie w rezonerstwo, nie mogąc zamieniać rozważań pełnych niuansów w skrótowe metafory audiowizualne, symbole, znaki, jak to robi film. Coś, że tak powiem, z konkretnej namacalności działania się na „deskach scenicznych" stawia opór pewnym imponderabiliom. Toteż powieść-arcydzieło biednieje więcej w kształcie teatralnym niż filmowym.

Nic tedy dziwnego, iż każdej próbie adaptacji scenicznej wielkiego dzieła powieściowego towarzyszą wśród miłośników literatury szczególnie nerwowe niepokoje. Pamiętam z moich czasów studenckich falę protestów, jakie wywołała w r. 1910 w Petersburgu i Moskwie zapowiedź wystawienia przez Moskiewski Teatr Artystyczny (dziś zwany MCHAT'em) „Braci Karamazow". W prasie, w gwałtownych dyskusjach prywatnych i publicznych wręcz oskarżano Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenkę o popełnienie świętokradztwa w stosunku do Dostojewskiego. Rezultat pracy inscenizatorskiej zadał kłam pogłoskom o „wandalizmie", ale muszę też powiedzieć, że był ten dwuwieczorowy spektakl najlepszą teatralizacją powieści, jaką widziałam w mym długim życiu. Mniej udał się już w tymże teatrze „Mikołaj Stawrogin" — ekstrakt scen z „Biesów", który fascynował głównie wspaniałym aktorstwem Kaczałowa.

Nie najmłodsi teatromani pamiętają raczej nieudaną adaptację Prusowskiej „Lalki", a przecie zrobioną przez tak kulturalnego i doświadczonego literata, jakim był Leśniodorski. Na Dostojewskiego znowu porwał się parę lat temu w Warszawie S. Brejdygant. W rezultacie — kompletne fiasco. Jego Książę Myszkin drażnił niedołęstwem, a całość spektaklu „Idioty" nużyła rozkojarzonymi dłużyznami.

Spośród nowoczesnych inscenizacji powieści najbardziej trafił mi do przekonania spektakl Kafkowskiego „Zamku" w warszawskim Ateneum, bodaj w sezonie 1965/66. Samo tworzywo sprzyjało tu inscenizatorowi pozwalając na zamknięcie „błędnego koła" bohatera w ciasnej ramce scenicznej.

Ponoć obecnie Teatr „Wybrzeże" przygotowuje adaptację „Ulissesa". Przyznam się, że oblatuje mnie strach, a jednocześnie pożera piekielna, niezdrowa ciekawość. Co za przedsięwzięcie! Ale przecie to u Marka Okopińskiego. Zresztą dobrze tak niemiłosiernemu burzycielowi Joyce'owi, sam szargał wszystkie świętości.

Nie najlepiej na ogół mają się rzeczy z powieścią na scenie. Wielka wygrana jest zdarzeniem arcyrzadkim. W przeciwieństwie do reportaży czy literatury epistolarnej, które znakomicie nadają się do teatru małych form. Wspomnijmy choćby „Kochanego kłamcę", „Listy miłosne Julii de Lespinasse", „Raport z Monachium" itp. Ale mówię to na marginesie mego tematu, zasadniczo chodzi mi tu ciągle o adaptacje powieści.

Staś i Nel — nabijanie w butelkę.

*

Przejdźmy wreszcie i na łączkę lubelską.

Muszę stwierdzić z żalem, iż Teatr im. J. Osterwy w Lublinie ma na sumieniu aż trzy niefortunne adaptacje dzieł powieściowych.

Wszystkie przypadają na blisko 12-letni okres ostatniej dyrekcji.

Najpierw wystawiono, w 1959 r. „Cezarego Barykę", dość niewierną przeróbkę „Przedwiośnia" Żeromskiego, z której teatr wyszedł obronną ręką dzięki wysiłkom utalentowanych aktorów (grali m.in. Stanisław Mikulski, Aleksander Aleksy, Danuta Nagórna, Eleonora Ossowska, Maria Górecka, Dorota Dworzyńska, Teresa Lassota, Lech Skolimowski). W r. 68 z kolei stała się porażką artystyczną, a sukcesem finansowym (te zjawiska coraz częściej idą w parze) adaptacja „Wiernej rzeki", gdzie nieomal każde zdanie Żeromskiego było przeinaczone. A teraz...

Teraz Teatr im. J. Osterwy sięgnął po Sienkiewicza.

Ziewając z nudów „W pustyni i w puszczy", przyrzekłam sobie solennie, że nie napiszę recenzji ze spektaklu tak wyjałowionego z Sienkiewiczowskich treści, jeno powiem trochę szczerych słów o adaptacji powieści w ogóle, a tej w szczególności. Oto więc jeszcze parę: opracowanie sceniczne tej młodzieżowej powieści Sienkiewicza wolno chyba uważać za jedną z najgorszych pozycji na giełdzie adaptacji powieściowych. I trudno nawet obarczać p. Gabrielę Piaskotę większą winą za nijaką fakturę dramaturgiczną scenariusza. Można jedynie jej zarzucić podjęcie się zadania przerastającego siły. „W pustyni i w puszczy" na scenę się nie nadaje. Na ekran kinowy owszem. Nie na scenę. Ktokolwiek zna utwór, a któż go nie zna, pokolenie po pokoleniu pasjonowało się sensacyjnymi przygodami Stasia, Nel i psa Saby. Ale jakże odtworzyć na scenie te zmienne krajobrazy afrykańskie (w scenografii syntetycznej!), tę grozę spotkań z dzikimi zwierzętami, z drapieżnymi ludźmi? Ktoś powinien był odwieść p. Piaskotę od niewdzięcznego trudu. Tym bardziej kierownictwo teatralne, z jego wieloletnim doświadczeniem, powinno było przewidzieć, że teatr, gdzie konflikty zarysowują się zawsze ostrzej niż w lekturze, będzie musiał z konieczności, oszczędzając młodocianych widzów, wszystko uładzić, ugrzecznić i pokazać sympatycznych wędrowców w iście bukolicznej atmosferze, niezbyt Sienkiewiczowskiej, bo i z tymi mahdzistami już PIW w r. 1963 miał kłopot. Wtedy Szymon Kobyliński, uroczy autor uroczo naiwnych ilustracji, musiał usprawiedliwiać Sienkiewicza z pewnych omyłek, dzisiaj zaś nie mniej urocza redaktorka programu teatralnego, p. Zofia Reklewska, dobrała wielkie fragmenty notatek Mariana Brandysa z dziennikarskiej podróży do podzwrotnikowej Afryki w r. 1956, opatrując je komentarzem do kwadratu. Dla kogo? Dziatwa chyba komentarza nie przeczytała.

Powiedzmy otwarcie: wystawienie adaptacji „W pustyni i w puszczy" (z którą się namęczyła doświadczona reżyserka Maria Billinżanka) jest jeszcze jednym w tym sezonie nieporozumieniem repertuarowym. Nie przeczę, dzieci lubelskie potrzebują godziwych rozrywek i wdrożenia w kulturę teatralną, ale pozostawmy troskę o dzieci Teatrowi Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena, który myśli o nich stale, a nie wystawiając raz na pięciolatkę przygodną, szmirowatą bajkę. Wolej by (że użyję języka Syrokomli) teatr nasz dramatyczny zatroszczył się konsekwentnie o dorosłych, bo już widzę, jak adaptacja młodzieżowa zbiera w terenie laury i złotówki wpędzadzając ludzi w infantylizm. Zaiste czas też przestać wyręczać Operetkę i PPIE — Estradę, bo jak tak dalej pójdzie, można będzie się spodziewać w szacownym gmachu przy ul. Narutowicza repertuaru laskonogich elektrogitarzystów. Wszak dochody ich z ZAIKSie są kolosalne.

Tymczasem biedni aktorzy nie mają co grać. Bogiem a prawdą tylko Piotr Grabowski (Kali), czarujący Murzynek pod trzema gwiazdkami i pojętna „bernardynka" Kasia (Saba) — pozostawili wdzięczniejszy ślad w mojej pamięci. Reszta to ple-ple. Gdy się w dodatku pomyśli, że z każdej nogi słonia i wielbłąda ktoś pobiera honorarium (40 zł!) od spektaklu i od próby, wolej, ach, wolej by zapłacił teatr nie raz i nie dwa ponad normę dobrym naszym aktorom, umęczonym objazdami.

Amatorstwo autentyczne

Dokończenie ze str. 1

nastawiony na statyczne mówienie poezji, gdzie zasadą porządkującą jest całość tematyczna, niejako tekstowa, nie zaś widowiskowa, czy taki zespół to rzeczywiście teatr poezji, teatr tekstu literackiego? Dla mnie to po prostu — zespół recytacyjny. Tym więcej, że istnieją faktyczne amatorskie teatry poezji, w których słowo poetyckie znajduje się wprawdzie na pierwszym planie, ale słowo udramatyzowane, jakby uintensywnione gestem scenicznym, mimiką wykonawcy, mniej lub więcej umownym rekwizytem. Wtedy właśnie tekst literacki, wspomagany teatralnym „dzianiem się", tworzy określoną całość widowiskową.

Znów ostatecznie nie idzie mi o poziom takich teatrzyków. Aczkolwiek rozmaicie tu bywa — od zupełnie naiwnych środków aktorskich (gość łapie się za głowę lub smętnie podpiera dłonią oblicze, znaczy się — przeżywa) do całkiem przyzwoitych przedstawień, kiedy dziurawy kapelusz słomkowy i gitara plus żywe aktorstwo wystarczy do zbudowania sugestywnego widowiska z jedynym bohaterem, swoistym bardem, ludowym księciem poetów, który szarga kołtuńskie układy Bulwieciowego światka. Tak czy inaczej są to teatry poezji.

A w dodatku są to teatry amatorskie. Każdy z nich powinien dążyć do maksymalnie celnych realizacji artystycznych, i dobrze, gdy takowe rezultaty udaje się osiągnąć. Ale — powiedzmy sobie otwarcie — że walory artystyczne czy organizowanie szerokiej widowni nie stanowi bezpośredniego i ostatecznego celu takich zespołów, podobnie zresztą jak i grup recytatorskich. Są to przecież dobrowolne zrzeszenia ludzi pracujących zawodowo w branży pozaaktorskiej lub jeszcze uczących się. Oni się między sobą bawią w teatr, poznając równocześnie poezję. I właśnie — jak to mówią — zaszczepienie bakcyla poetyckiego wśród uczestników zespołów jest, wedle mnie, podstawowym zadaniem ruchu.

Oczywiście, wymaga się tu jakiegoś minimum rzemiosła, kształcenia umiejętności, co leży głównie w gestii domów kultury (wojewódzkiego i powiatowych) i nie tylko leży, bo wokół owego kształcenia rzeczone domy faktycznie i stale sporo robią, choć nie zawsze z dobrymi rezultatami. Jeśli jednak rzecz cała ma się utrzymywać w granicach amatorstwa, to dziwią przypadki, kiedy w przeglądzie takich teatrzyków pojawia się spektakl, zresztą bardzo dobry, aktora zawodowego, na przykład — z teatru lalek, któremu to profesjonałowi znudziło się ukrywanie za prześcieradłami czy dechami oraz pociąganie za sznureczki czy manipulowanie palcami, i w tej sytuacji zechciało mu się wystąpić w charakterze twórcy jednoosobowego teatru poezji. Niech się najwięcej takich teatrów pojawia, lecz niech mi nie wmawiają, że to amatorstwo krystaliczne, choćby nawet o pieniądzach nikomu się nie śniło.

Gdy w jednym worze festiwalowym organizatorzy mieszczą i równą cenzurą każą mierzyć zawodowców i amatorów, a pośród tych ostatnich teatry poezji i zespoły recytatorskie, to wynikają stąd krzywdy rozmaite. Ludzie się przygotowują, zamiast wódkę pić po pracy — poezję czytają i wkuwają, na jakoweś nagrody honorowe liczą, ale jaka jest ich szansa wobec człowieka puszczającego w ruch umiejętności, za których sprawą on gdzie indziej chleb codzienny je? Podobnie — jaka w oczach jurorów jest szansa zespolików recytatorskich, utworzonych przy szkołach czy mniejszych zakładach, zespolików pozostających nierzadko na marginesie fachowego instruktażu — wobec teatrów poezji ulokowanych przy domach kultury bądź bogatych zakładach? Coś od czegoś warto by tutaj oddzielić — dla sensowności współzawodnictwa. Aczkolwiek nigdzie nie jest powiedziane, że zespół recytatorów nie może się przekształcić w amatorski teatr poezji, a ostatni dorównać poziomem aktorstwu zawodowemu.

Kiedy już w ten sposób całą sprawę wstępnie przynajmniej uporządkowałem, mogę spokojnie stwierdzić, że kraśnicka *Assunta* — to autentyczny amatorski teatr poezji. Od początku zasilany finansowo przez lubelską Izbę Rzemieślniczą, zrzesza głównie młodzież pracującą w rzemiośle. Do tej pory przez zespół „przewinęło się" około 180 osób. Najdłuższy „staż" aktorski — dwa lata, bo wiosną i jesienią odchodzą chłopcy do wojska. Często taka obecność w zespole ma niebagatelne znaczenie wychowawcze, nie mówiąc już o podnoszeniu kultury literackiej członków.

Warunki i środki — raczej skromne. Sala, dwa schody i podium sceniczne. Kurtyna, trzy reflektory, dwa podświetlacze. Rekwizyty i kostiumy częściowo robią własnym przemysłem (młodzież rzemieślnicza przecież). Sporo „pomocy scenicznych" wypożyczają też z WDK. Ale kształt przedstawień, wybór tekstów (głównie poezja współczesna i najnowsza) — to już zasługa zespołu i jego kierownictwa.

Od początku kieruje *Assuntą* Jerzy Śniechowski, instruktor k.o. przy Cechu. Poza dwoma wyjątkami resztę premier sam montował. Trochę się naciąłem z tym kierownikiem. Chłopak szczupły, niewysoki, w białym golfiku i czteroguzikowej a dwurzędowej marynarce z nowocześnie a młodzieżowo wykrojonymi klapami. Młodzieńczo rozbiegany i energiczny — fanatyk teatrzyku. „To już nie moje pokolenie" — pomyślałem. Ale nie! W kulturze pracuje od dziesięciu lat. Tylko jakoś przesiąkł tymi swoimi dwudziestolatkami. „Związki emocjonalne bardzo się tutaj liczą, ludzie po latach do mnie przychodzą, kontaktu nie tracą, dlatego w tym siedzę" — powiedział o swojej pracy w teatrzyku. Choć ma za sobą liczne szkolenia i weryfikacje, nie ciągnie go perspektywa profesjonała na szczeblu wojewódzkim, woli amatorskość terenową.

W wykonaniu teatrzyku *Assunta* oglądałem blok trzech spektakli. „Rozbitkowie i ratownicy" — premiera oparta na książce H. G. Wellsa „Rosja we mgle", całkowicie umowne, jeśli idzie o teatralność, przedstawienie publicystyczne, zogniskowane głównie wokół postaci Lenina. „Rybałtowskie peregrynacje" — spektakl zmontowany ze średniowiecznych tekstów polskich. Udramatyzowany żywo, wystylizowany — strojami i językiem — pod epokę. Tutaj najlepiej było widać, jak przy „tłustej" staropolszczyźnie rybałtowskich pogwarek cały zespół świetnie się bawi.

Ale najbardziej podobał mi się discopoeticon „Twarze". Pokaz łączący muzykę, obraz, powolny taniec i słowo. Publiczność rozmieszczono po dwu stronach białej płachty wiszącej w środku sali. Na tle owej płachty, na którą rzucano przeźrocza reprodukcji współczesnego malarstwa polskiego oraz montaże ilustracji z pism zachodnich, poruszali się wykonawcy, recytując protest-songi autorów amerykańskich. Wtórowała temu muzyka Elingtona do „Makbeta", odtwarzana z magnetofonu. Teksty wygrzebał z „Ameryk" Jerzy Śniechowski, sam zresztą najaktywniejszy uczestnik wszystkich przedstawień.

W sumie — jak na amatorów — udany i wewnętrznie zharmonizowany spektakl, którego ostatecznym sensem był protest przeciw grzechom cywilizacji, oskarżenie obywatela dzisiejszego świata o obojętność wobec zbrodni i okrucieństwa. Kończyło się to wierszem autora „Naszej małej stabilizacji"...

Tak oto poważnie... bawią się w teatr poezji amatorzy z „prowincji". Tak oto umieją się bawić. Darowałem wszystkie „sypnięcia" i niedostatki dykcji, rzecz częściowo nieunikniona w warunkach, jakimi dysponują tego rodzaju zespoły.

Maciej Podgórski

Kamena str. 5

Dr J. Blaim | Dr T. Bojarski | Mgr inż. M. Doliński | Mgr W. Fabijański | Mgr inż. W. Gigoło | F. Klementowski | Cz. Walczak | Mgr M. Wójcik | Mgr inż. H. Zuber

Fot. Huner (CAF)

RYZYKO GOSPODARCZE W KODEKSIE KARNYM

Słuszne decyzje pod ochroną prawa

Nasze dyskusje

ROZDZIAŁ XXX — PRZESTĘPSTWA GOSPODARCZE

Art. 217 § 1 Kto, pełniąc funkcję w jednostce gospodarki uspołecznionej, nie dopełnia obowiązku lub przekracza swe uprawnienia w zakresie prawidłowego gospodarowania i przez to dopuszcza chociażby nieumyślnie do zniszczenia mienia, albo jego nadmiernego lub niewłaściwego użycia, albo powoduje inną poważną szkodę w gospodarce uspołecznionej — podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5.

§ 2. Jeżeli następstwem czynu jest wielka szkoda, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 8.

§ 3. Nie popełnia przestępstwa określonego w § 1 i 2, kto bądź w celu przysporzenia gospodarce uspołecznionej korzyści, bądź też w celu przeprowadzenia prac naukowo-badawczych, albo eksperymentów technicznych lub ekonomicznych działa w granicach ryzyka, które według aktualnego stanu wiedzy jest dopuszczalne, w szczególności gdy prawdopodobieństwo korzyści poważnie przekracza prawdopodobieństwo mogącej wyniknąć szkody.

ZAMIESZCZONY obok artykuł nowego kodeksu karnego, obowiązującego od 1 stycznia br., stał się podstawą dyskusji, zorganizowanej przez naszą redakcję celem bliższego wyjaśnienia tak intencji prawodawcy jak i sformułowań, które w praktyce będą kierowały działalnością osób, odpowiedzialnych za poważne odcinki naszej gospodarki. W dyskusji wzięli udział: dr Jerzy Blaim — wiceprokurator wojewódzki, dr Tadeusz Bojarski — adiunkt w Katedrze Prawa Karnego UMCS, mgr inż. Modest Doliński — dyrektor Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych, mgr Wiktor Fabijański — z-ca dyrektora Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Handlowych, mgr inż. Wacław Gigoło — dyrektor Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa, Feliks Klementowski — z-ca dyrektora Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Przemysłu Terenowego, Czesław Walczak — prezes spółdzielni „Ludowa", mgr Michał Wójcik — adwokat z Zespołu nr 8, mgr inż. Henryk Zuber — z-ca dyrektora Wojewódzkiego Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego. Redakcję „Kameny" reprezentowali: członek Kolegium Redakcyjnego Konrad Bielski oraz sekretarz redakcji Jerzy Dostatni.

J Dostatni: — Jak niemal każdy nowy przepis i ten wzbudza kontrowersje zwłaszcza § 3. Chodzi tu przede wszystkim o precyzyjność sformułowań. Bo co to znaczy np. „aktualny stan wiedzy" czy „prawdopodobieństwo" szkody lub korzyści? Czy ten przepis, sankcjonujący prawo do ryzyka, czego tak bardzo domagali się działacze gospodarczy, oznacza krok w przód czy nie? Czy dyrektorzy zjednoczeń i przedsiębiorstw, a za nimi inni odpowiedzialni pracownicy, dopatrują się w tym przepisie pomocy? Czy w rezultacie zwiększy się ich dyrektorska odwaga? Stare przysłowie powiada: kto nie ryzykuje, w Rawiczu nie siedzi. Czy ta groźba ulega zmniejszeniu? A jeżeli nie — to dlaczego? Z drugiej strony czy mniejsza elastyczność § 3 nie doprowadziłaby do jego szybkiego skostnienia lub sankcjonowania z góry przestępstw w pewnych granicach?

M. Doliński: — Dla mnie jest to przepis nijaki, nie zmienia zasad mojej pracy. Podejmowanie decyzji dla mnie, jako kierownika przedsiębiorstwa, jest rzeczą normalną. A nie istnieje decyzja bez ryzyka. Podejmowanie decyzji jest nie tylko moim prawem, ale i obowiązkiem — i według starych i według nowych przepisów. Podejmowanie decyzji w przedsiębiorstwie ma aspekt nie tylko gospodarczy, ale i społeczny. Społecznie zaś bardziej szkodliwe jest nie podejmowanie decyzji, gospodarczo zresztą też. Jeżeli na dziesięć decyzji, z których każda przecież zawiera elementy ryzyka, siedem czy osiem będzie słusznych, a dwie lub trzy nie, to w sumie skutki gospodarcze i społeczne będą korzystne. I to decyduje.

J. Dostatni: — A jeżeli prokurator zajmie się tylko tymi niesłusznymi?

M. Doliński: — Jestem przekonany, że zajmie się i jednymi i drugimi. Nowy przepis rozgrzesza każdego, kto rzeczywiście miał czyste intencje. Przy dzisiejszym rozwoju, przy tempie tego rozwoju, nie można podejmować tylko słusznych decyzji. W Związku Radzieckim dla rozwiązania jakiegoś ważnego problemu robi się np. najpierw 100 różnych dokumentacji, z tego powstaje tylko 20 prototypów, do produkcji seryjnej idzie jeden. A tych 99 przecież nikt nie karze. Myślę tylko, że w naszym przepisie słowo „ryzyko" jest niezbyt precyzyjnie określone.

W. Fabijański: — Dla pełnego obrazu trzeba podkreślić, że ten, kto się uchyla od popełnienia decyzji, też powinien być karany. § 1 mówi wyraźnie, „kto ... nie dopełnia obowiązku"...

J. Blaim: — Tak, ale tu chodzi o decyzje, które mieszczą się w uprawnieniach. Jeżeli nie — niestety, sprawa jest prosta.

M. Wójcik: — Była taka sprawa karna, że dyrektor wydatkował 300 tys. zł ponad plan funduszu płac, co przyniosło bezsporną korzyść 5 mln zł. Według dawnych przepisów odrzucono efekt, biorąc pod uwagę tylko sam fakt przekroczenia funduszu płac. Długo nad tym deliberowano, zanim ostatecznie proces umorzono. Teraz też sprawa będzie, a przynajmniej powinna być prosta — umorzenie, jeżeli w ogóle zostanie skierowana do sądu.

J. Blaim: — Nowy przepis jednak jest przeznaczony nie dla prawników, ale dla działaczy gospodarczych. Czy panowie odczuwaliście jego brak? Czy dyrektor socjalistycznego przedsiębiorstwa ma potrzebę wychodzenia poza ramy takiego czy innego przepisu, a jeżeli tak — jak często, jak daleko?

M. Doliński: — Ja nie odczuwałem braku. § 3 nie jest mi obojętny, ale przedtem jego brak, a teraz istnienie, nie zmienia mojego działania.

W. Fabijański: — Ja sądzę inaczej. Przedtem była zagrożona karą sama możliwość powstania szkody bez względu na okoliczności, teraz już nie, właśnie te okoliczności decydują.

M. Doliński: — Pan mecenas Wójcik mówił tu o przekroczeniu funduszu płac. Ale czy istotną przyczyną jego przekroczenia nie była nie najlepsza praktyka naszych zjednoczeń, czasem i wyższych jednostek, że tworzyły sobie „zapasy" funduszu płac? Na dziesiątkach narad słyszymy potem: złóżcie odwołanie, dajcie projekt korekty, załączcie uzasadnienia. No i gdy dostanie się coś z tego zapasu, pierwotna decyzja pachnąca niebezpiecznym ryzykiem staje się normalna, gdy się nie dostaje — powstają komplikacje.

M. Wójcik: — Przepisy jako całość są nadbudową, powinny chronić, umacniać bazę. Czy § 3 spełnia tę służebną rolę wobec bazy? Jest to przecież deklaracja nadbudowy wobec bazy. Ale powstaje pytanie, czy praktyków bardziej ograniczał i ogranicza kodeks karny, czy nazbyt liczne przepisy wewnętrzne? Moim zdaniem § 3 jest kauczukowy, rozciągliwy. Żyjemy nie tyle w cieniu kodeksu karnego, ile w królestwie głównych księgowych, którzy ze swoimi kontami nie pozostawiają zbyt wiele miejsca dla ludzi z wyobraźnią.

M. Doliński: — Nasza, i nie tylko nasza, nadbudowa nie nadąża za dynamicznym rozwojem bazy. I chyba z natury nie może nadążyć. Ale niesłuszne byłoby uchylanie się od sformułowań nadbudowy.

T. Bojarski: — Problem ryzyka gospodarczego powinien być rozpatrywany w połączeniu z innymi formami ryzyka — np. w sporcie czy medycynie. Te sprawy tam też nie są w pełni uregulowane. Nie było problemem wprowadzenie do kodeksu pojęcia ryzyka gospodarczego, ale ustalenie kryteriów, pozwalających na jego wprowadzenie. I są tu dwa podstawowe kryteria: 1) pozytywny cel, chęć przysporzenia korzyści, 2) uzasadnienie aktualnym stanem wiedzy. Trzeci element łączy się z obu poprzednimi: chodzi o prawdopodobieństwo strat lub korzyści. Jest rzeczą niewątpliwą, że nowy przepis ma na celu wywołanie większej aktywności, szerszej inicjatywy.

→

Szkoda, że pani nie jest mężczyzną!

Dokończenie ze str. 1

nia, co nastąpić może na podstawie jednego z trzech dokumentów: umowy o stypendium fundowane, umowy przedwstępnej, skierowania do pracy.

Najkorzystniejszą dla studenta, a zarazem podstawową formą tego systemu są właśnie stypendia fundowane przez zakłady pracy; można je przyznawać od III, a nawet niższego roku studiów. Z dniem 1 stycznia br. wprowadzono zasadę ich wyłączności na dwóch ostatnich latach studiów. Podstawą nawiązania kontaktu fundator — stypendysta są wnioski tego pierwszego, nadsyłane do uczelni, które powinny m. in. określać charakter przyszłej pracy, nazwę miejscowości i jej atrakcyjność, a także formę uzyskania mieszkania przez absolwenta.

Student, podpisujący następnie umowę stypendialną, poza pomocą materialną otrzymuje możliwość dokładnego poznania przyszłego miejsca pracy, jego środowiska i organizacyjno-technologicznych warunków realizowanej produkcji. Odpowiednie przepisy zapewniają mu odbywanie w „swoim" zakładzie praktyk studenckich, wstępnego stażu pracy, ułatwiają również pracę zarobkową w czasie wakacji. Zrozumiale, że w takich warunkach przyszły fachowiec szybciej dojrzewa pod względem zawodowym i społecznym, czego nie sposób przecenić.

System stypendiów fundowanych wyraźnie faworyzuje przedsiębiorstwa i instytucje miast powiatowych, miasteczek i osiedli. Najwyższe stypendia (800 i 900 zł na ostatnich latach studiów) przysługują studentom decydującym się na podjęcie pracy poza miastami wojewódzkimi; w tych ostatnich nie przekraczają one sumy 750 zł.

Za racjonalnością systemu przemawia jeszcze jeden fakt: ustalono, że poszczególne resorty i instytucje zgłoszą uczelniom całego kraju 32 tys. ofert stypendialnych, aczkolwiek przewiduje się przyznanie tylko 24 tys. stypendiów. Chodziło więc o danie studentom możliwości wyboru fundatora, a tym samym przyszłego miejsca zatrudnienia.

A jednak przy tych wszystkich sensownych założeniach przyznawanie stypendiów fundowanych — uprzywilejowanych, bo do ich otrzymania uprawnieni są studenci przy znacznie wyższych dochodach rodziny niż w przypadku tzw. stypendiów zwyczajnych, płatnych z budżetu uczelni — co rusz powoduje szereg nieporozumień i rozczarowań. Oto niektóre z nich, ujawnione na gruncie lubelskim, gdzie działają cztery wyższe uczelnie państwowe.

Wbrew wszelkim analizom i prognozom, stwierdzającym jednoznacznie rosnące zapotrzebowanie na absolwentów szkół wyższych określonych kierunków, w zasadzie wszystkie uczelnie lubelskie odczuwają brak wniosków stypendialnych, zgłaszanych przez zakłady pracy.

W najgorszej bodaj sytuacji znajduje się UMCS.*) I tak na 235 studentów Wydziału Humanistycznego, uprawnionych do pobierania stypendiów fundowanych, wpłynęło zaledwie 76 prawidłowo sformułowanych wniosków. 169 prawników otrzymało „do wyboru" 44 oferty, a 193 słuchaczy Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi — tylko 18!

Zdaniem pełnomocnika UMCS do spraw zatrudnienia, statystyka ta odzwierciedla realne potrzeby gospodarki narodowej na tego typu specjalistów. Nieprzypadkowo np. mówi się o „nadprodukcji" prawników. Kto wie, może ustawa o planowym zatrudnianiu absolwentów szkół wyższych, ogłoszona niemal siedem lat temu, w pewnych swoich sformułowaniach nie odpowiada już wymogom dnia dzisiejszego?

Osobny problem to brak w krajowych wykazach nowych specjalności, powstałych na UMSC, jak np. matematyki numerycznej, której studenci przygotowywani są m. in. do obsługi maszyn cyfrowych. Zakłady przemysłowe nie wiedzą o jej istnieniu, nie zgłaszają ofert stypendialnych, co przed absolwentami tej potrzebnej gospodarce narodowej specjalności otwiera w zasadzie jedną realną perspektywę zatrudnienia w szkolnictwie.

*) Dane statystyczne, uwzględnione w tym artykule obrazują sytuację drugiej połowy stycznia br.

Szczególnie drastycznie, również w skali ogólnopolskiej, przedstawia się sytuacja kobiet, reflektujących na stypendia fundowane. Zakłady pracy, przede wszystkim produkcyjne, ale nie tylko one, bronią się przed płcią urodziwą, jak mogą. Przykładów na kopy. Oto fabryka w powiatowym mieście na Lubelszczyźnie zgłasza uczelni bardzo atrakcyjny wniosek: zapewnia mieszkanie, dobre stanowisko. Z tegoż miasta pochodzi studentka odpowiadającego zakładowi kierunku studiów. Sytuacja, zdawać by się mogło, wymarzona, bo wszystko jak ulał pasuje do przepisów. Kandydatka jedzie więc do potencjalnego fundatora, ale ten, na jej (kobiety!) widok, traci nagle zapał do całej sprawy i nie chce podpisać umowy. Interweniuje pełnomocnik uczelni. Zakład znajduje sto powodów swojej decyzji. Pełnomocnik jest przecież człowiekiem doświadczonym i zamiast dziewczyny wysyła do zakładu chłopaka. Umowa zostaje podpisana. 69 proc. słuchaczy UMCS to kobiety.

Swoiste zabarwienie posiada fakt odmowy podpisania dokumentu stypendialnego ze studentką przez... kobietę, dyrektora przedsiębiorstwa.

Niedobór wniosków stypendialnych każe patrzeć pełnomocnikom uczelni przez palce na wnioski tzw. nieprawidłowe, czyli nie podające konkretnego miejsca pracy, nie gwarantujące mieszkania itp. Nie znaczy to jednak, że takie wnioski, z braku innych, są z reguły przyjmowane. Traktuje się je jako sygnał dobrej woli jakiegoś fundatora, z którym przeprowadza się następnie nerwowe rozmowy, mające go skłonić do realizacji zasad, przewidzianych odpowiednimi przepisami. Tak czy inaczej sposób podejścia przez niektóre zakłady pracy do zagadnienia stypendiów fundowanych pozostawia sporo do życzenia, zniechęcając studentów do korzystania z tej formy pomocy. Bywa, że przedsiębiorstwo wysłało wniosek do uczelni, a potem, tłumacząc się brakiem etatów, nie chce podpisać ze studentem umowy stypendialnej. Zdarzają się też wnioski wręcz humorystyczne, świadczące o przypadkowym podejmowaniu decyzji ufundowania stypendium. Jak bowiem inaczej określić prośbę o ekonomistę, skierowaną do uczelni przez spółdzielnię kominiarską z malutkiego miasteczka?!

A teraz słów kilka o drugiej stronie fundowanego medalu: o stosunku studentów do wniosków z innych województw, lub miast powiatowych i osiedli Lubelszczyzny.

Młodzież z tzw. terenu, stanowiąca trzon studentów UMCS jest mniej przedsiębiorcza od rówieśników z dużych miast i dlatego reflektuje przede wszystkim na stypendia ufundowane przez zakłady położone w pobliżu rodzicielskiego domu. Z oczywistych względów jedynie część może liczyć na spełnienie swoich oczekiwań. Odważniejsi wyjeżdżają w Polskę, spora jednak grupa nie interesuje się takim rozwiązaniem kwestii. Rezultaty: zaledwie 69 proc. nadesłanych i prawidłowo sformułowanych wniosków udało się rozdzielić studentom, głównie przedostatniego roku studiów; młodsze lata liczą zapewne na coś innego, ciekawe jednak na co. Rzecz cała przybiera więc postać karykaturalną, żeby nie powiedzieć groźną: ze znikomej w stosunku do formalnych potrzeb liczby wniosków pozostało jeszcze kilkadziesiąt, na które nikt nie reflektuje. Największe kłopoty z prawnikami, którzy absolutnie nie chcą słyszeć o pracy w powiatowych radach narodowych, żyjąc nadzieją, że może tu, w Lublinie, coś się wyskrobie w prokuraturze, w adwokaturze najlepiej. Co prawda administracja publiczna i instytucje wymiaru sprawiedliwości zgłosiły na lata 1971—75 zapotrzebowanie na 818 osób z wyższym wykształceniem, ale nie chodzi im wyłącznie o prawników, a przy tym sam Lublin oczekiwać będzie na zaledwie 95 osób.

Zbliżone problemy mają także pozostałe uczelnie Lublina. W stosunkowo najlepszej sytuacji znajduje się Wyższa Szkoła Rolnicza. Na Wydział Weterynarii i do Instytutu Techniki Rolniczej wpłynęło więcej wniosków, niż wynoszą aktualne potrzeby tych kierunków. Ale i w tym przypadku liczba chętnych do podjęcia stypendiów okazała się niższa od ogółu studentów uprawnionych do ich pobierania.

Pełnomocnik uczelni potwierdza zarazem przypadki zgłaszania wniosków, a następnie ich wycofywania przez zakłady pracy w momencie przystąpienia do podpisania umowy. Przedsiębiorstwa — są takie — nie chcą też zwracać kosztów podró-

Zdarzyła się taka sprawa z dziedziny skupu tytoniu. Urodzaj był bardzo dobry i dyrektor podjął decyzję, aby skupić surowiec ponad wyznaczony mu limit, bo inaczej jego część zmarnuje się. Ale wskutek braku odpowiedniego magazynu tytoń składowano w nadmiernych ilościach i wybuchł pożar. I dopiero Sąd Najwyższy uniewinnił dyrektora. Podobnie było z produkcją zegarów — próby wypadły dobrze, produkcja seryjna tak źle, że ją przerwano. Dyrektor nie odpowiadał. § 3 jest nie tylko deklaracją, ale i zachętą. Jednak podejmując nowatorską decyzję, dyrektor musi zasięgnąć opinii swojej władzy, grona fachowców, przeprowadzić wszechstronną analizę. Pojęcie „aktualnego stanu wiedzy" powinno uwzględniać aktualny stan tej wiedzy u zainteresowanych. W takich przypadkach, ale to trzeba traktować raczej wyjątkowo, można naruszyć obowiązującą instrukcję techniczną czy technologiczną. Jeżeli inne zakłady robią jakiś artykuł dobrze, a nasza fabryka ma bardzo podobne warunki — możemy rozpocząć taką samą produkcję i nie powinniśmy ponosić konsekwencji, gdy wyjdzie źle. Pamiętajmy, że w sądzie będą decydowali nie tylko prawnicy, ale i fachowcy, biegli.

M. Wójcik: — Załóżmy, że dyrektor piekarni najpierw wypieka chleb z zakalcem, ale zgodnie z recepturą. Potem podejmuje decyzję: zmienia recepturę, chleb jest doskonały. Ale PIH ma swoje przepisy, niektóre o ochronie żywności są jeszcze przedwojenne — więc będzie ścigał dyrektora. Podobnie z przepisami normalizacyjnymi — wiele z nich już bardzo się zestarzało, ale wciąż obowiązują. A wśród biegłych są ludzie — i ci najczęściej przychodzą do sądu — którzy zastygli w swoich wiadomościach sprzed wielu, nieraz bardzo wielu lat. Sformułowanie o prawdopodobieństwie korzyści i strat pozostawia duże granice swobodnej oceny, gdy chodzi o dobrą wolę, poziom wiedzy, prawidłową analizę techniczną czy ekonomiczną.

J. Blaim: — Powodzenie każdego systemu prawa jest uzależnione od osób, które to prawo realizują. Ale te osoby to przecież część naszego społeczeństwa, które poprzez wybranych przez siebie ławników wpływa decydująco na stanowisko sądu. Druga sprawa — wydaje mi się, że problem ryzyka w pojęciu dr Bojarskiego jest zbyt optymistyczny. Uwzględnia warunki optymalne, gdy funkcjonują wszystkie kolektywy i wtedy postawienie zarzutu jest niemal niemożliwe. Minister, dyrektor zjednoczenia ma zawsze do dyspozycji grupy fachowców. Ale gdy trzeba podjąć ryzykowną decyzję na niskim szczeblu jednoosobowo? Zdarzają się także niespodzianki. Np. dyrektor postanawia wysłać do Gdańska dużą partię owoców, bo tam dzisiaj jest wysoka cena. Ale następnego dnia rano, gdy transport przybył do Gdańska, okazuje się, że na podobny pomysł wpadli inni dyrektorzy. Nie będzie zysku, może nawet strata. Chyba trudno winić dyrektora. Nowy przepis stwarza lepszą sytuację niż dawny art. 49, który ten sam fakt pozwalał oceniać raz jako przestępstwo, innym razem nie. A jaka jest granica w pojęciu ryzyka? Decydować będą sędziowie, ale powtarzam, że ich przeciętna świadomość jest taka sama, jak przeciętna świadomość społeczeństwa, więc nie widzę tu zbyt wielkich komplikacji.

M. Wójcik: — A byłoby dobrze, aby była wyższa.

T. Bojarski: — Główną zaletę nowego przepisu widzę w kryteriach tego, co jest dopuszczalne. Bo w ramy ryzyka nie może wchodzić zdrowie i życie człowieka, gdy np. chcemy zwiększyć zysk lub tylko produkcję kosztem niebezpiecznego uproszczenia maszyn i narzędzi czy stworzenia innych groźnych warunków.

F. Klementowski: — Dopiero dzięki „Kamenie" poznałem dzisiaj ów przepis. W ciągu 25 lat pracy miałem już kilka spraw dochodzeniowych, ale dyrektorem wciąż jestem. Do podjęcia decyzji, nawet tej ryzykownej, oprócz wymienionych już czynników potrzebne jest także wewnętrzne odczucie. A skutki decyzji mogą być złe także dlatego, że realizacja była zła i wtedy nie wolno kwestionować samej decyzji. Przez 25 lat § 3 nie było, kierownicy jednostek gospodarczych decyzje wydawali, zresztą w wielu przypadkach wbrew sztywnym przepisom, a jednak tylko bardzo niewielu zostało skazanych i to już za jawne przestępstwo. Prawidłowość decyzji osądza nie tylko sąd, lecz także władze zwierzchnie i tu konsekwencje są czasem przykrzejsze. Nawet wtedy, gdy sprawa w ogóle nie trafia do sądu. Bo każda jednostka gospodarcza ma tyle przepisów wewnętrznych, że przestrzeganie wszystkich jest niemożliwe, a każdy dyrektor jest potencjalnym przestępcą. Ba — na upartego można mu to bardzo często udowodnić. Pamiętajmy jednak, że nie zawsze korzyść materialna jest w ryzyku istotna. Przed laty w czasie burzy zawaliła się bardzo stara fabryka. Czterystu ludzi straciło pracę i to był zasadniczy problem. Nie mając pieniędzy inwestycyjnych, podjąłem decyzję odbudowy fabryki ze środków obrotowych. Ludzie znów mieli pracę, ale z wysokiego szczebla skierowano sprawę do prokuratora za samodzielną, zbyt ryzykowną i sprzeczną z przepisami decyzję. Mądry prokurator sam ją umorzył, bo zysk społeczny był oczywisty. § 3 to eksperyment i rzecz polega na ocenie ryzyka. A władza zwierzchnia może i tak ocenić: do prokuratora nie nadaje się, ale naruszył przepis — więc żegnaj! To też jest ryzyko osobiste. Prawdę powiedziawszy, dzisiaj wiele czynników tonuje decyzje dyrektorskie: główny księgowy, bank, czynniki społeczne w przedsiębiorstwie, władza zwierzchnia. Gdybyśmy wyciągnęli wszystkie obowiązujące wewnętrzne przepisy każdego resortu czy zjednoczenia, to lepiej nie mówić, ilu dyrektorów pozostałoby na swoich stanowiskach.

J. Blaim: — Jeżeli dobrze rozumiem, to uważa pan, iż większym od kodeksu karnego nieszczęściem są zdezaktualizowane przepisy wewnętrzne, których działania dzisiaj, w innych warunkach, już się nie kontroluje, a które jednak obowiązują. I wtedy podświadomie patrzymy z nieufnością na wszystkie przepisy, nie tylko na te już przestarzałe...

F. Klementowski: — Przedwojenne przepisy gospodarcze najczęściej zmierzały do ochrony fabrykanta, dzisiaj biorą pod uwagę i producenta i konsumenta i pracownika. Ale nie wszystko da się uregulować przepisami. Tak się jakoś ustaliło, że każda kontrola jest źródłem wydania nowego przepisu. I dlatego chociaż już wiele zrobiono w prządkowaniu dawnych przepisów, to jeszcze nie wszystko, a nowe wciąż się rodzą i czasem nie jestem pewien, czy jest ich mniej.

H. Żuber: — Pracując w budownictwie, nie znajduję możliwości częstego podejmowania decyzji, a zwłaszcza ryzykownych. Wskaźniki produkcji podstawowej i pomocniczej, wydajność pracy, fundusz płacy, zatrudnienie — wszystkie podstawowe wskaźniki są z góry określone, wszystkie inne pozycje planu są wynikiem działań arytmetycznych. Asortyment robót i to drobiazgowo też jest ustalony poza przedsiębiorstwem. Decyzje dyrektora ograniczone zostają do spraw organizacji produkcji. Sprzęt, transport, materiały — to także leży poza granicami moich decyzji. A mimo to ryzyko jest ogromne, bo dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego potem odpowiada za wszystko. A ten § 3 to przede wszystkim możliwość ekwilibrystyki dla prawników. Jeżeli chodzi o poziom wiedzy, to też warto uściślić — poziom u nas, w ZSRR, USA czy Japonii. Bo to nie jest to samo. A dla biegłych z tzw. petersburskimi dyplomami poziom aktualnej wiedzy to jeszcze co innego. Pojęcie prawdopodobieństwa zysku czy strat też jest bardzo rozciągliwe.

M. Wójcik: — Przypomina pogodynkę Wicherka...

H. Żuber: — W budownictwie straty materialne są wynikiem nie tylko złych decyzji, ale np. tego, że obowiązuje nas cena sprzedażna, a nie cena wynikająca z prawdziwego kosztu.

W. Gigoło: — Stąd pojęcie planowanych strat.

J. Blaim: — W czym tkwi błąd — w systemie zarządzania czy w prawie?

H. Żuber: — W systemie cen.

J. Blaim: — A więc w systemie zarządzania budownictwem.

M. Wójcik: — Ale ten system opiera się na prawie gospodarczym.

J. Blaim: — Dochodzimy więc do wniosku, że nie prawo ogólne jest hamulcem, chociaż i ono nie jest czy nie może być doskonałe, ale zbyt kazuistyczne normy wewnętrzne. Powinny zaś być bardziej syntetyczne, nie usiłujące regulować drobiazgów. Tu już dużo uporządkowaliśmy, ale jak widać jeszcze wiele kazuistyki przetrwało.

Cz. Walczak: — Jako potencjalni „kontrahenci" artykułu 217 przede wszystkim musimy wykazać dobrą wolę, zdając sobie sprawę, że już samo objęcie stanowiska kierowniczego jest ryzykiem. Taka dyskusja jak dzisiejsza, bez prezydium i referatów, jest szczególnie potrzebna po II Plenum KC PZPR. Przepisów jest istotnie dużo, chyba zbyt dużo, ale ostatecznie prawo podstawowe nas ochrania. Jak wiemy, spółdzielczość ma ciężkie warunki pracy, w każdym razie cięższe niż przemysł kluczowy. Gdyby nie wiara w to, że ochrania nas prawo, nie moglibyśmy pracować. Jeżeli kierownik będzie kierował się interesami gospodarki narodowej, skutkami ekonomicznymi i społecznymi, ma zapewnioną ochronę prawa i wymiaru sprawiedliwości. I będzie bardzo dobrze jeżeli praktyka stosowania § 3 stanie się taka, o jakiej mówimy. Musimy być w decyzjach odważniejsi, musimy ryzykować, bo będziemy złymi kierownikami. Ale pamiętajmy, że prawo nie zawsze musi być po stronie dyrektorów, bo to zależy od okoliczności. A te często nie są proste. Np. zawalił się dom, bo cement był złej jakości. Dyrektor wykonawstwa nie zawsze posiada warunki, aby ten cement przed użyciem zbadać, chociaż teoretycznie powinien. Z cementowni produkt wyszedł dobry, gdzie stracił swoje własności trudno powiedzieć. Ale skutek zły jest, a gdzie sprawca?

M. Wójcik: — Rację ma przedmówca — prawo powinno stwarzać warunki bezpieczeństwa, nie może wyświadczać łaski, nie może być dobrym wujkiem, kierownik nie może zdawać się na działanie sił czystych i nieczystych. § 3 w naszej gospodarce musi żyć bardzo intensywnie.

J. Blaim: — Istotnie, człowiek musi obracać się swobodnie w systemie prawa, w którym żyje. Oczywiście myślimy tu o ludziach uczciwych, zaangażowanych. I nie zawsze decyduje tylko zysk ekonomiczny czy techniczny, ale także społeczny, ochrona zdrowia i życia człowieka. Inaczej zatracilibyśmy cały humanizm naszego ustroju i powstałoby pytanie, dla kogo stwarzamy ten zysk ekonomiczny, jeżeli działamy przeciwko człowiekowi?

W. Gigoło: — Myślę że ludzie, pełniący kierownicze funkcje, są świadomi swojej odpowiedzialności, więc nie bardzo zgadzam się z niektórymi osądami dyrektorów Dolińskiego i Klementowskiego. Z własnych kontaktów i obserwacji wiem, że ta świadomość odpowiedzialności nieraz hamuje podejmowanie decyzji, zwłaszcza przy większym ryzyku. Wynika to nie tyle z zawartości kodeksu karnego, ile przepisów prawa gospodarczego. Wielu z nas nie wiedziało w ogóle, że dawniej istniał art. 49, o art. 217 dowiedziałem się dopiero dziś po otrzymaniu tekstu od red. Dostatniego. Obawiam się, że minie rok i wielu ludzi podejmujących ryzyko nie będzie o nim wiedziało. Ale to nie zmienia faktu, że decyzje ryzykowne wciąż są podejmowane, ja sam na różnych szczeblach zarządzania też je podejmowałem. Jest jednak spory krąg ludzi, którzy byliby dobrymi kierownikami, ale świadomość odpowiedzialności powoduje, że takich funkcji nie chcą podjąć. Bo przecież nie tylko zła aura wokół budownictwa powoduje, że brak u nas kandydatów na stołki dyrektorskie. Warunki materialne nie są przecież złe.

J. Dostatni: — A uznanie społeczne zawodu, wyników jego pracy?

W. Gigoło: — Teraz jest ono trochę wypaczone i nie tylko z naszej winy. Dla mnie rozbudowanie, uściślenie § 3 byłoby bardzo pożądane. Brałem udział w wielu naradach, sejmikach budowlanych, konferencjach. W naszym budownictwie poziom wiedzy teoretycznej jest bardzo wysoki, rzeczywiście na światowym poziomie. Ale w praktce wykonawstwa jest znacznie gorzej. I stąd tak wiele zależy od interpretacji „poziomu wiedzy". Ponadto sądzę, że tak długo, jak długo będą istniały szczegółowe przepisy resortowe, niewiele będzie korzyści w budownictwie z § 3. Zresztą przedsiębiorstwa wykonawcze nie mają prawa do prowadzenia prac badawczych czy eksperymentów, trzeba więc, aby istota tego paragrafu możliwie najszybciej przejawiła się w zmianie przepisów resortowych. A kary wynikające z tych przepisów są niejednokrotnie bardziej dotkliwe, niż kary przewidziane w kodeksie karnym. I dosięgają ludzi, mimo że prokurator nieraz nie dopatrzyłby się przestępstwa.

T. Bojarski: — Czy tych wielkich osiągnięć teoretycznych nie można zastosować w praktyce?

W. Gigoło: — Na normalnym placu budowy nie wolno eksperymentować, trzeba produkować. Ale np. sprawa rulonów PCW na podłogi, przeklęta przez wszystkich budowlanych i wielu użytkowników! Były doskonałe oceny z instytutów, sprawdzone z powodzeniem w warunkach laboratoryjnych, ale w praktyce mimo wielokrotnych prób nie wychodziło, bo warunki są zupełnie inne.

J. Blaim: — Moim zdaniem, jeżeli chodzi o „aktualny poziom wiedzy" to trzeba się odwołać do przeciętnego, ogólnie dostępnego poziomu.

J. Dostatni: — W imieniu redakcji bardzo panom dziękuję. Dyskusja chyba wiele wyjaśniła, chociaż pewne kontrowersje pozostały. A zagadnienie, zwłaszcza teraz, jest dla naszej gospodarki bardzo ważne. Myślę, że cała ta problematyka jest w sferach gospodarczych zbyt mało znana. I że trzeba domagać się przyspieszenia dalszej koordynacji prawa gospodarczego, zwłaszcza pełnego dostosowania przepisów resortowych do podstawowych aktów prawnych.

M. Wójcik: — Byłoby dobrze, i to też jest chyba wnioskiem, aby Zrzeszenie Prawników Polskich dotarło do przedsiębiorstw i przeprowadziło podobne dyskusje z całym aktywem gospodarczym.

Relację spisał:
Jerzy Dostatni

ży (choć powinny) tym studentom, którzy zdecydowali się na odwiedziny u fundatora, aby w myśl obowiązujących przepisów tam właśnie dopiąć sprawę. Ponadto zjednoczenia PGR, jeden z głównych kontrahentów uczelni, nie określają we wnioskach miejsca przyszłej pracy absolwenta, ograniczając się do podania nazwy tzw. klucza gospodarstw, obejmującego kilka jednostek produkcyjnych.

Wątpliwości powiatowych rad narodowych budzą np. przepisy o zatrudnianiu lekarzy. Otóż rady z wewnętrznymi oporami występują z wnioskami stypendialnymi, ponieważ w najlepszym wypadku fundują lekarzy dla swego terenu na jeden rok. Wcześniejsze dwa lata młody medyk spędza na stażu w uprawnionych klinikach i szpitalach, a nie w wiejskich ośrodkach zdrowia. Po odbyciu stażu i ewentualnym odpracowaniu owego roku, niejeden lekarz znika z miasteczka czy wioski. Zgodnie z zarządzeniem ministra zdrowia i opieki społecznej z dnia 13 stycznia 1966 r. tylko „w wyjątkowym wypadku, gdy w inny sposób nie można zapewnić ludności opieki lekarskiej lub jeżeli przemawiają za tym ważne względy osobiste absolwenta-lekarza, może on podjąć pracę na okres dwóch lat w wiejskim ośrodku zdrowia, z obowiązkiem równoczesnego odbywania praktyki podyplomowej w zakładzie uprawnionym do jej prowadzenia".

Wątpliwości rad narodowych wynikają z intencji trwałego związania lekarzy z terenem powiatu, co aktualny system gwarantuje tylko w niewielkim stopniu. Biorąc pod uwagę specyfikę zawodu, trudno od ręki zaproponować jakieś sensowne rozwiązanie. Problem jest nadal aktualny.

Osobliwe zgoła powikłania ujawniają stypendia fundowane w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie, którą w ubiegłym roku opuścili pierwsi absolwenci studiów dziennych. W zasadzie wszyscy znaleźli zatrudnienie. Przyszłość tegorocznej partii inżynierów maluje się w mniej radosnych barwach. Chodzi tu, prawie wyłącznie, o mechaników, ponieważ elektrycy i budowlani niemal wszyscy otrzymali i przyjęli oferty stypendialne. Natomiast na Wydział Mechaniczny, liczący 160 studentów uprawnionych do pobierania stypendiów fundowanych, wpłynęło tylko 50 wniosków. Na eksploatację pojazdów samochodowych, która jest jednym z kierunków tego wydziału, nie zgłoszono w pierwszym rzucie ani jednego wniosku, co mogłoby nasuwać podejrzenie, że na Lubelszczyźnie nie ma przedsiębiorstw przewozowych, ani Fabryki Samochodów Ciężarowych. Do FSC, jak i do WSK w Świdniku czy „Edy" w Poniatowej pretensji jednak mieć nie można: zakłady te przysyłają sporo wniosków, ale same nie są w stanie zaspokoić potrzeb uczelni. Równie duże zainteresowanie absolwentami WSI wykazują zakłady z innych województw: Stalowa Wola, Fabryka Maszyn Żniwnych w Płocku — stwarzające zresztą bardzo dobre warunki pracy i życia młodym inżynierom.

Kłopoty, czasami irytujące, są z mniejszymi instytucjami i przedsiębiorstwami, które jakby nie dostrzegają istnienia WSI, powołanej co trzeba mocno podkreślić, do zaspokajania zapotrzebowania regionu na kadrę inżynierską. Lubelskie „Transped", WZGS, „Motozbyt" — MPK, spółdzielnia przewozowa wysłały wnioski stypendialne do Politechniki Warszawskiej! Widocznie nie były odosobnione w swoim rozumowaniu, jeśli ogłoszona przez warszawską uczelnię na początku grudnia ub. roku nadwyżka ofert stypendialnych wynosiła 615.

Zresztą i inne politechniki znalazły się w podobnie dostatniej sytuacji: Gliwice miały nadwyżkę w wysokości 1 456 wniosków, Łódź — 530, Gdańsk — 475. Natomiast wszystkie krajowe wyższe szkoły inżynierskie odnotowały niedobór ofert ze strony zakładów pracy. To daje dużo do myślenia. Ale nie przeszkadza, że na studia w WSI starają się tłumy młodzieży. Przykładowo: podczas egzaminów wstępnych na Wydział Mechaniczny WSI w Lublinie na jedno miejsce przypadało 5 kandydatów. Kształcimy inżynierów, ale mamy kłopoty z racjonalnym wprowadzeniem ich do produkcji przemysłowej, do pracy zgodnej z kwalifikacjami.

Dla pomyślnego rozwoju programu stypendiów fundowanych wydaje się nieodzowne powtórne przejrzenie obowiązujących w tej mierze przepisów i zarządzeń, zmuszenie wszystkich zainteresowanych stron do ich honorowania (po ewentualnym retuszu, bo nie wymagają one niczego więcej), rozwinięcie szerokiej informacji wśród zakładów pracy o możliwościach uczelni w zakresie kształcenia specjalistów oraz równie szerokie propagowanie tych stypendiów wśród studentów wszystkich lat, czym w pierwszym rzędzie winny zająć się organizacje młodzieżowe, działające na uczelniach. Nikt dotąd nie wymyślił bowiem lepszej metody w miarę szybkiego i efektywnego sposobu przekazywania gospodarce narodowej kadr z wyższym wykształceniem, będącej równocześnie dobrym — przynajmniej w swoim modelu — narzędziem socjalistycznej polityki społeczno-gospodarczej i kulturalnej.

Gospodarka Lubelszczyzny w latach 1971—75 będzie potrzebowała ogółem 9 500 ludzi z wyższym wykształceniem, w tym 3 281 z wykształceniem technicznym. W owym czasie — żeby posłużyć się przykładem — lubelską WSI opuści 1200 absolwentów. Brakujące 2000 inżynierów trzeba będzie wyłuskać wśród absolwentów wyższych uczelni technicznych innych województw. A tymczasem nasze szkoły wyższe bezskutecznie oczekują na odpowiednią liczbę ofert stypendialnych. Zastanówmy się.

Ireneusz J. Kamiński

Maria Józefacka

Wiersze tatrzańskie

* * *

jesieni świta stępa rusza w górę
proporce skoruszyny
łopot
krasny wiwat
bastion skały
dogasa jęzorami dymu
skoruśniakiem przed siebie
prosto
na kobylarz

czerwone wierchy
niczym namioty zwycięzców
złotolite
nad nimi buńczuk wichru

nocy pułki nubijskie
suną pod półksiężycem
zewsząd świeci październik jak kindżał

* * *

zza naprawy luboń łeb wychyla
z ciekawością
drzewa przy drodze
także wszystkie zaczesane w stronę
obidowej

stamtąd tatry blisko

stąd popędzić na łeb na szyję
furda zakręt
powietrze aż świszcze
rdzawka niwa klikuszowa
rynek
nowotarski kolorowa przystań

wariacko
przejazd ściąć nad białym dunajcem
wspiąć się w górę
w zakopiański ganek

tutaj tatry oczy miłowane
chmurne ciemniejące wzruszeniem
w odpowiedzi
na bezładne powitanie
po tak bardzo długim niewidzeniu

Reportaż i recenzja z Ziemi Deptanej

Jerzy Chłodnicki

GDZIE leży Ziemia Deptana? Który odkrywca uznał, że wyróżnikiem krainy może być jej deptanie? Odkrywca, zwycięzca, zdobywca — przemierza, wkracza, maszeruje. Zwykły człowiek — chodzi. Depcze — dziecko! Można też deptać (lub gonić) w piętkę...

Mniejsza o nazwę; wiem, że Ziemia Deptana to Rowiska, Backi, Strabla, Bielsk, Płótniska, Horodek, Dużewicze. Wiem, że w Ziemi Deptanej leżą Kłoski, Krzywa, Różanka, Wydrzyn, Brzozowo, Baniewice, Bujanów i Ścieżki. Koniecznie na Ziemi Deptanej trzeba umiejscowić Jacewicze, Lniska, Boryski, Liski, Maniewki. Jeszcze nie wszystko...

Powiem szczerze: nie zamierzałem szukać egzotyki w Ziemi Deptanej. Nie spodziewałem się znaleźć w niej czegoś szczególnego. Znalazłem ludzi, których podziwiam; podziwiam ich skomplikowane życie, ich wiarę w siłę moralną człowieka. Ludzie ci opowiedzieli mi swój życiorys bardzo lakonicznie. Nie wdawali się w trudne problemy narodowościowe; nie mówili źle o Białorusinach, ani o Polakach, ani o Żydach, ani o Rosjanach. Nie chcieli mówić źle o Niemcach. Ludzie ci mówili tylko o podłych sąsiadach i dobrych sąsiadach.

Dobro i zło przewyższało nawet biblijny dekalog; było jednakowe dla popa i ateisty, katolika i starowiera. Wspaniali, nieszczęśliwi ludzie! Wspaniała, nieszczęśliwa Ziemia Deptana.

A zaczęło się nadzwyczaj powszednio; zadzwonił telefon z Biblioteki Powiatowej w Lublinie.

— Halooo, tu Lisowska. Czy to Uniwersytet Ludowy w Gardzienicach?

— Tak, słucham...

— U was zaczął się kurs dla gospodarzy klubów „Ruchu"?

— Tak, trwa już od 3 października...

— Dobrze się składa, bowiem gościmy na naszym terenie panią Marię Szulecką (mówi się! Proszę nie przerywać!...) z Warszawy; współpracuje z „Chłopską Drogą". Prosiliście o spotkanie, więc proponuję, by jutro pani Szu...cka odbyła u was spotkanie autorskie.

Nie rozumiem... Termin nie najlepszy, a i pisarka nieznana... Wiesz, Tereniu, u nas była Warneńska, był Żukrowski. Jesteśmy poniekąd zepsuci dobrymi spotkaniami, więc może tę panią wyślecie gdzie indziej... Co ona napisała?

— „Czeremcha pachnie gorzko". Z tego był zrobiony film „Wiano". Ma też inne książki: powieść „Wyboje" (wkrótce ukaże się w naszym Wydawnictwie Lubelskim wznowienie). Teraz ukazała się w Lublinie „Ziemia Deptana". Napisała dramat pt.: Zdrada słomy"... Ma też inne napisane książki. Jedną nawet nagrodzoną!

— No, przekonałaś mnie, choć wiesz, jak traktuję „babskie pisanie".

— Mieliśmy już kilka spotkań i wszędzie mówi niezwykle interesująco.

— Dobrze już. Więc jutro o szesnastej!

Trudno było odmówić. Przysyłają ludzi o nic nie mówiących nazwiskach. Nie można dobrze przygotować spotkania, bo ani żadnej recenzji, ani artykułu o nich nie można znaleźć w wycinkach z roczników. Przysyłają z powiatu debiutantów, czort wie kogo, a dziewczęta pomyślą, że spotykają się z czołową pisarką polską. Ciągle jeszcze pojęcie „pisarz" u przeciętnych czytelników lub u ludzi wcale nie oczytanych łączy się z czymś wybitnym, wzniosłym, o czym się powinno wiedzieć, uczyć w szkole, znać — tymczasem przysyłą nie wiadomo kogo i ...czar pryska. Taki ktoś może mówić bzdury, może wypaczyć i tak nie utrwalone „dobre zdanie" o literaturze, o pisarzach w ogóle. (Był taki jeden w Pilaszkowicach, Gawłowski czy Pawski, na spotkaniu. Mówił: najlepsze kawałki piszę, gdy wypiję. Broniewski też pił. Piję i piszę, a mieszkam koło kawiarni w Lublinie. Tu mam tylko maszynopisy. Nie, nie mogę nic zostawić, bo nie mam maszyny. Tak, wkrótce wydam...)

Jaki związek ma spotkanie w Gardzienicach z Ziemią Deptaną? Chyba ten, że pani Szulecka była w Białostockiem. Zna ludzi, których i ja wkrótce poznałem. Opowiadała o nich na spotkaniu. Boże, cóż to było za spotkanie! Ona gada, gada, gada, a ludzie słuchają. Nikt nie ziewa.

Przed pisarką konspekt spotkania. Trwa to dłużej niż „regulaminowe" czterdzieści pięć minut, plus podpisanie rachunku i wypłata. Spotkanie przedłuża się do niemal pięciu godzin, z tym, że z „repety" korzystają najbardziej zagorzali czytelnicy: inteligencja Gardzienic. Na stole kwiaty od słuchaczek Uniwersytetu Ludowego, od szkoły podstawowej, od czytelników Biblioteki Gromadzkiej w Gardzienicach. Pani Maria Sokolukowa, nauczycielka, pełniąca od ponad dwudziestu lat obowiązki bibliotekarki, milczy. Wie z własnego życiorysu, co znaczy słowo: pacyfikacja. Wie, że pani Szulecka umie szanować tę wiedzę, wyniesioną z innych stron i w innym czasie. Pacyfikację zna nie tylko Zamojskie.

Najpierw myślałem: cóż Szulecka, warszawianka, wie o kresach? Najpierw myślałem: cóż za sprawy, problemy można poznać na stypendium w PGR? Nie przypuszczałem, że czeka mnie podróż do Ziemi Deptanej, że zafascynuje mnie ta ziemia.

A Białystok ma tak dobrych dziennikarzy! A „Kamena" tak rzadko drukuje wieści z Podlasia! I ani w „Kamenie", ani w Białymstoku nie przekonano mnie, że istnieje coś tak frapującego, jak historia ludzi, żyjących w górnym dorzeczu Narwi. Dobrze, że uczyniło to Wydawnictwo Lubelskie!

Kiedyś przekonał mnie do kresów Sienkiewicz, ale wkrótce zrozumiałem jego błędy i potknięcia. O swoistej egzotyce Bieszczadów przekonał mnie Gerhard. Teraz przekonała mnie do Podlasia Szulecka To nawet dziwne, że nie białostoczanin Redliński, a warszawianka Szulecka. Te miejscowości wymienione na wstępie znalazły się w książce. Nie sprawdzałem w „Ogólnopolskim spisie miejscowości", czy są one prawdziwe, czy fikcyjne. Większość na pewno prawdziwa. Wiem, że autorka chciała w tej mnogości nazw podkreślić wagę swej książki dla całego terenu Białostocczyzny: chciała podkreślić, że historia ta nie dotyczy jedynie Rowisk i Jacewicz.

To czytelnik łatwo by pojął, tymczasem autorce ta mnogość przeszkadza. Gubi się w nazwach. Raz Ścieżki są Śnieżkami (s. 247), innym razem Bujnów (s. 247) Bujanowem (253), a Kowalski mieszka w Baniewicach (276), by na str. 289 ten sam dom ktoś przeniósł mu do Maniewek. Nie najlepsza jest mapa okolic Narwi, wynikająca z opisów autorki, więc dobrze, że nie partyzantom, ale czytelnikowi tylko służy. Redaktor tomu mógł zwrócić uwagę na te drobnostki, także korektor mógł zauważyć chochliki: zbliżających (203), rozmawa (288), zza pania (369) itp. łącznie ze słówkiem „mysimy" (s. 200), chociaż to ostatnie kto wie, czy nie popełniła sama autorka, myśląc językiem Wiecha: „mysimy bobkamy"!

Wątpliwości nasuwa taki „plastyczny opis": *W tej samej sekundzie huknęło potężnie i szczyt kopca, ścięty równo jak nożem, przestał istnieć.* To ścięcie nożem pojawia się jeszcze w innym miejscu. Albo: *Serce Wasi zaczęło bić jak szalone.* Albo próbka dialogu: — *Weź sobie miastowego w kapeluszu, trzy razy dziennie będzie cię bijał, raz jeść dawał — odezwał się drwiąco.* — *Mnie miastowy niepotrzebny, niech będzie z wioski, ale sprawny* — odpaliła.

Po przemęczeniu pierwszych kilkudziesięciu stron ciąg dalszy czytałem z zapartym tchem, oswojony już z nazwami, nazwiskami.

Losy Waśki stały się dla mnie bliskie i na stronie 372 poczułem duży żal do autorki, że książka jest tak krótka i doprowadza akcję do szczęśliwego dotarcia Waśki do partyzantki. A co dalej?

Jest to książka historyczna, ale i książka współczesna. Trepę osądził Wasia i wyrok wykona, ale niektóre barwne postacie siedzą do dzisiaj w więzieniach, sądzone już przez władzę ludową. Niektórzy te więzienia teraz, po dwudziestu kilku latach, opuszczają. Ciekawe, jak oni widzą losy Ziemi Deptanej. Przydałaby się współczesna książka o tej ziemi!

Chwilami, czytając, miałem pretensję do autorki, że zbyt nachalnie podkreślała historię wtrętami publicystycznymi; fabuła, charaktery, postępowanie ludzi wyznacza przecież ich polityczną postawę. Przynależność do orientacji politycznej wynika z nich. Tymczasem co raz odnajduje się zdania informujące: a to o udziale w strajku „Semperitu", to o zbieraniu podpisów o uwolnienie Ernesta Thaelmana, to o komitetach antyfaszystowskich (czy tak je wtedy prości ludzie nazywali?), to znów o „Sielsowiecie" i kołchozach, gdzie indziej zaś o ukrywaniu się łącznika KPP. Mówiąc o partii, by nie było niejasności, autorka informuje: Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi.

Razi to dopowiadanie, mówienie wprost o rzeczach oczywistych. Idąc dalej w upolitycznianiu tekstu znajdziemy „Samoobronę" i Białoruski Nacjonalistyczny Komitet, masówki na 1 Maja i rocznicę Rewolucji Październikowej, Niemca z KPD i *Piłsudskiego — gówno może*, Mroza, który był w Berezie i radzieckiego lotczika rannego, czerwone flagi pierwszomajowe wieszane u konfidenta Trepy i śpiew Międzynarodówki na bagnach. I to wszystko w Rowiskach, wsi rodzinnej Wasi Kamieńskiego.

Są też fragmenty piękne, wzruszające, czyste literacko. O nich przekona się czytelnik; nie chcę mu zapowiedzią psuć wrażenia. Wspomnę o jednym tylko zdaniu Mroza, wypowiedzianym do Wasi: *Partia nie czapka. Nie można jej zdjąć z głowy, odwiesić na kołku i mieć spokój* (s. 80).

Zastanowiło mnie ono. Czy zastanowi każdego czytelnika? Czy zechce być wierny idei, tak jak młokos Wasia, deptający ścieżki nad Narwią?

Dojrzewanie Wasi ukazane jest po mistrzowsku. Już ono samo wystarczyło, by książka była historyczną, zaangażowaną politycznie, bez przytoczonych wtrętów. Jeżeli być musiały — to użyte trochę inaczej. Nie wiem, jak. Nie jestem krytykiem ani pisarzem, lecz oceniam jako czytelnik.

Tak poznałem Ziemię Deptaną. Usłyszałem w niej głos mego ojca zabitego przez Niemców. Usłyszałem w słowach Mroza:

Możesz spokojnie patrzeć na to, że niemiecki gad twoją ziemię depcze? I wiem teraz skąd tytuł. Wiem, że to książka potrzebna. By żyła pamięć. By niemiecki gad mej ziemi nie deptał.

Nie każdy pisarz znajduje przyjaciół na wsi — pani Szulecka ma ich wielu. To oni w Białostockiem opowiedzieli o losach swoich rodzin i wsparli faktami wyobraźnię pisarki. Oni teraz opowiadają po spotkaniach o swoich problemach i zdarzeniach. I już znamy nowy temat książki Marii Szuleckiej: Lubelszczyzna. Okolice Łęcznej. Zdradziła się z tym zamiarem napisania książki (umowa z Wydawnictwem Lubelskim już podpisana!) po spotkaniu w Gardzienicach. Oby zrealizowała zamiar przynajmniej tak rzetelnie, jak to uczyniła w Ziemi Deptanej!

Dzień w „Polonii"

Dokończenie ze str. 1

ze swą pracą, gdyż jedzie na spotkanie z naczelnym architektem Warszawy. Chodzi o lokalizację domu „Polonii". Potem sekretarz wybiera się do medaliera Macieja Szańkowskiego, który opracowuje projekt medalu „Polonia z Macierzą — 1970". Medal zostanie wybity w 2 tys. egzemplarzy. Otrzymają go wybitni działacze organizacji polonijnych, z którymi „Polonia" utrzymuje kontakty.

Przenoszę się do Wydziału Prasowo-Wydawniczego Towarzystwa. Kierownik Wydziału, mgr Mieczysław Fudali, właśnie skończył spotkanie z Zarządem Klubu Zagadnień Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a teraz przegląda prasę polonijną. Towarzystwo otrzymuje stale 60 tytułów prasy polonijnej w językach polskim i obcych. Pewien Polak przysyła prasę polonijną w języku angielskim w zamian za polskie wycinanki ludowe. Nazwisko jego trzymane jest przez „Polonię" w tajemnicy, gdyż człowiek ten przebywa w środowisku zdecydowanie konserwatywnym i zastrzegł w liście, że nie może przyznać się publicznie do jakichkolwiek kontaktów z krajem, rządzonym przez komunistów.

Na biurku mgr Fudalego leży sporych rozmiarów teczka. To tezy „Polonii" na spotkanie z przedstawicielami Polskiej Akademii Nauk poświęcone powołaniu Instytutu Polonijnego. Szacunkowo obliczono, że tylko 15 proc. Polonii należy do organizacji polonijnych i głównie z tą grupą Towarzystwo ma kontakty. A pozostałe 85 proc.? Koniecznie potrzebny jest instytut naukowy, obejmujący całokształt spraw polonijnych.

Znów przeglądamy prasę. Tę pozytywnie ustosunkowaną do rzeczywistości krajowej, tę rzeczowo neutralną i tę negatywną. Widać wyraźnie, że czytelnicy nie zawsze podzielają poglądy redakcji, lub nie we wszystkim. *My już nie uważamy się za emigrację polityczną, choć rozumiemy, dlaczego nasi ojcowie nie wracają do kraju. Jestem dumna z mojej narodowości. Jeżdżę do Polski co roku z radością i ze smutkiem wracam* — pisze czytelniczka prawicowego londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza". A czytelnik wychodzących w Sydney „Wiadomości" zapytuje przywódców konserwatywnych ugrupowań polonijnych: *Jak można rozbudzać w dziecku uczucia przywiązania do polskości, jeśli jednocześnie obraz tego kraju, który ma stać się jego umiłowaniem, maluje się najczarniejszymi barwami?* Bolesław Ślęzak pisze w chicagowskim „Dzienniku Związkowym" o konieczności obrony Polski przed szkalowaniem jej przez rzekomych Polaków. A oto głos wiceprezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej, J. Grodeckiego: *Nie może być mowy o rozwoju młodzieży polonijnej w kulturze jej przodków, bez żywych, bezpośrednich kontaktów z krajem.* I podobne oświadczenie prof. Mariana Szczepańskiego, członka australijskiego Towarzystwa Wiedzy o Polsce.

Jak refren w tej prasie polonijnej pojawiają się przy każdej okazji problemy jej stosunku do Kraju. Odległego, innego od ich doświadczeń, nie zawsze rozumianego, a przecież bliskiego, mającego jakiś magnetyczny wpływ na ich myśli. Lecz jednocześnie łamy polonijne pełne są ich wewnętrznych spraw, też odległych od nas, nie zawsze nam zrozumiałych, jednakże nie obojętnych.

Oto grudniowy numer „Polish-American Journal". Adwokat Teodor Jakabowski, trzecie pokolenie w USA, prezes Polsko-Amerykańskiej Narodowej Rady Doradczej, obawia się, że prezydent Nixon ignoruje Polonię amerykańską w swej polityce kadrowej. Jakabowski był przywódcą polonijnego ugrupowania republikańskiego, które popierało Nixona w ostatnich wyborach, wierząc, że dotrzyma obietnicy mianowania kilku Polaków na wysokie stanowiska federalne. Adwokat Jakabowski utworzył w 15 stanach zamieszkałych przez Polaków komitety popierania Nixona; działało w nich około 5 tys. osób. Teraz ani on, ani nikt z jego grupy nie został zaproszony do Białego Domu na konferencję przedstawicieli republikańskich grup etnicznych. Z treści wypowiedzi wynika dość wyraźnie, że nasz rodak w następnych wyborach prezydenckich w USA służyć będzie swoją pomocą już innemu kandydatowi.

W bibliotece pani Joanna Raczkowska podaje mi pakiet z prasą nadeszłą przed chwilą. Za oknami mroźny wiatr, śnieżyca. W Ameryce Południowej pełnia lata. Inne sprawy, inne smutki i inne radości mają nasi rodacy.

Wydawany w Kurytybie „Lud" informuje, że „barbeiro", groźny owad, którego ukąszenie powodowało długotrwałą chorobę serca, nie jest już straszny. Wynaleziona niedawno szczepionka „Triponosama" ma znakomite działanie zapobiegawcze, a lek „Hicantone" usuwa skutki ukąszenia u nie szczepionych. Bardzo to ważne dla Polaków z północnej Parany, gdzie „barbeiro" czynił liczne spustoszenia. Dalej wieści o braku książek szkolnych i katastrofie kolejowej pod Sao Paulo. Zginęły 44 osoby. Wiele nazwisk polskich. Zmarła 95-letnia Elżbieta Szydłowska, matka ośmiorga dzieci, z których każde zawarło związek małżeński z osobą narodowości polskiej, babka 60 wnucząt i prababka 60 prawnucząt. Rady dla gospodyń — „Jak sporządza się uszka w barszczu". Obszerna rubryka z życia polskich parafii i organizacji religijnych w Paranie i Rio Grande do Sul. Ogłoszenia. Casa Pavao Hipolita Dopieralskiego — wielki wybór ubrań, butów i kapeluszy. Ogłoszenia lekarzy z Kurytyby: dr Ludwik Rydygier, dr Augusto Kiszka, dr Gabriel Nowicki, dr Stanisław Puchała, dr Wincenty Plenik, dr Newton Majewski. Adwokaci: dr Paulo Filipczak, dr Edward Zelak, dr Leopoldo Antonio Sokołowski. Reklama PKO. Obszerne wiadomości o życiu Polonii w Argentynie, USA, Francji, Belgii i na Węgrzech. I cały, bogaty serwis z Polski.

Przeglądam chicagowski „Dziennik Związkowy". Mało wiadomości z Polski, mało ze świata, głównie z USA, a szczególnie ze stanu Illinois. „Janicki żąda senackich dochodzeń". Reklamy. Restauracja Słodkowski. Fabryka „Pod Białym Orłem" poleca kołdry wełniane. Nowe polskie filmy: „Kierunek — Berlin" i „Ostatnie dni".

Gdybym czytał cały dzień, to dokładnie nie przejrzę dziennej porcji. Więc znów do Wydziału Prasowo-Wydawniczego. Panie Teresa Wilusz i Alina Bojarska przygotowują wysyłkę filmów, zamówionych specjalnie przez Towarzystwo dla ośrodków polonijnych. Jeden — „Polska 1918—1968", produkcji wytwórni „Czołówka", reżyserował Wiesiolek. Przygotowano 100 kopii czarno-białych. Drugi, kolorowy, w różnych wersjach językowych, nosi tytuł „Spotkanie z Ojczyzną" i prezentuje rzeszowski festiwal polonijny, województwo rzeszowskie i defiladę 25-lecia. Wykonano 80 kopii. Będą krążyć te kopie po świecie od jednego klubu polskiego do drugiego, będą wyciskać łzy z oczu nawet tym, którzy programowo odcinają się od wszystkiego, co się dzieje w kraju, ale to przecież polscy żołnierze w polskich mundurach wybijają defiladowy krok przed trybuną z Białym Orłem, prowadzą czołgi i ruchome wyrzutnie rakiet. Będą wyświetlać te filmy aż do złuszczenia się emulsji na taśmach — a potem przyjdą tu, do „Polonii", listy z podziękowaniami, pełne tęsknoty, tak jak przychodziły po innych filmach.

Jeszcze jeden gabinet — tym razem drugiego z sekretarzy generalnych Towarzystwa, Romana Broża. Dopiero co miał u siebie wizytę przedstawicieli Rady Polonii Amerykańskiej. Organizacja ta od roku 1939, gdy USA były jeszcze neutralne, wysyłała paczki do obozów jenieckich. Potem pomagali w wyposażeniu ośrodków zdrowia, m.in. protezowni w Katowicach, przysyłali żywność dla dzieci w woj. białostockim. Obecnie dożywianie to nie jest już potrzebne; chcieli się dowiedzieć, co mogliby teraz zrobić dla kraju.

Jeszcze krótka wizyta pani Janiny Koshegy z Budapesztu, prezeski Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca im. gen. Berna. Pani Koshegy, osoba znana Czytelnikom „Kameny", gdyż przedstawialiśmy ją z okazji festiwalu polonijnego w Rzeszowie, przyszła podzielić się radosną wiadomością: CRS „Samopomoc Chłopska" obiecała ofiarować jej zespołowi kilkanaście polskich strojów ludowych.

I telefon: przyjeżdża 120 Polaków z NRF. Chcieliby złożyć wizytę w Towarzystwie. Czy można? Sekretarz zaprasza. Ustalają godzinę.

A teraz pan Ivan Ferbrog spod Antwerpii. Jest Belgiem, zakochanym w Polsce od czasu, gdy oddziały polskie wyzwoliły jego rodzinne miasteczko. Nauczył się nieźle naszego języka, wpada niekiedy do Polski, a potem pisuje korespondencje do prasy belgijskiej. Obecnie spędzał urlop w Polsce. Sylwestra w Zakopanem, wpadł się pożegnać.

Pan Jan Pargielo z Nowego Jorku przyjechał przygotować nowe trasy wycieczkowe dla Polonii. Starzy emigranci zwiedzali Gdańsk, Gdynię, Warszawę, Wawel i Częstochowę. Ale teraz zaczyna podróżować młode pokolenie, któremu dawne szlaki nie wystarczą. Chcą obejrzeć jeszcze Śląsk, Wrocław, Szczecin, puławskie „Azoty" i tarnobrzeską „Siarkę". Polska interesuje ich i jako ojczyzna przodków i jako państwo, z którym można prowadzić interesy. „Chicago Society" w roku 1969 przyjechało w 120 osób, na 1970 r. zapowiedzieli 170.

Znów telefon. Berlin zachodni. Małżeństwo, ona Polka, on Niemiec, byli już 3 razy w Polsce, ale nie znają Zakopanego, a chcieliby się dowiedzieć, jakie są możliwości spędzenia tam Wielkanocy.

I list. John Luis Brzoza, technik samochodowy z Detroit, lat 27. Przyjedzie do Polski w lipcu, żeby spełnić przyrzeczenie dane swemu dziadkowi, gdy ten umierał: ożenić się z Polką. Chciałby, aby była naturalną blondynką, skromną, umiejącą dobrze gotować, dbać o dom i pielęgnować chorych, gdyż matka jego od kilku lat nie wstaje z łóżka.

Dzień to był jakiś szczególnie matrymonialny. Bo oto wchodzi mister S., wysoki, tęgi pan lat 68, syn Amerykanina i Polki. Przed 15 laty, kiedy rozwiodła się z nim czwarta żona, postanowił ożenić się już tak na zawsze i wzorem ojca pojąć dziewczynę znad Wisły. Przybył do Warszawy, wybrał sobie bogdankę, 40-letnią, wzięli ślub i wyjechali do USA. Po trzech latach nowa żoną opuściła go jednak i uzyskała rozwód. Pan S. przyjechał do Warszawy i ożenił się tu z 28-letnią panną. Historia powtórzyła się i Amerykanin w roku 1964 wziął w Warszawie ślub z 54-letnią wdową. „Halo, czy pan mnie poznaje?" — pyta sekretarza Broża. „Poznaję. Dzień dobry. Pan może znów po żonę?". „O, yes! Znów. Pan mi pomoże, prawda?". „No, a co z tą ostatnią?" „Powiedziała mi, że to była z jej strony pomyłka i po rozwodzie wyszła za mego sąsiada". „Cieszę się, że pana widzę w Warszawie, mister S, ale czy pan nie zniechęcił się do Polek, skoro poprzednie małżeństwa nie były udane?" — pyta sekretarz. „Och skądże! Były udane, tylko za krótko trwały. Pan mi pomoże kogoś poznać, prawda? Czuję, że tym razem będzie to wielka miłość". Pan Broż wyciąga z szafy koniak i trzy lampki.

Romuald Wiśniewski

Kamena str. 8

Z lektury Maryl i Delfin

Gdy nasi wieszczowie trudzili się zbawianiem ojczyzny lub przeżywali kolejne dramaty miłości do swych wybranek — one, wybranki, zajmowały się często sprawami o wiele bardziej przyziemnymi. Oto lektura ówczesnych Maryl i Delfin, której fragmenty — szanując ówczesny styl, ortografię i interpunkcję — przepisujemy z wychodzącego od 1835 roku pisma dla pań „Magazyn Mód — Dziennik Przyjemnych Wiadomości", redagowanego przez Joannę Widulińską w Warszawie. Sądzimy, że w dniu Święta Kobiet z niejaką łezką i... westchnieniem warto to także przeczytać.

Mody Paryzkie

Dziś opiszemy naszym Czytelniczkom stroje, które jako w porze, na wieczory nie tańcujące, znajdujemy stosowniejsze.

Kapelusz czarny aksamitny, z główką bardzo niską, rond otwarty i mały, do niego pióro strusie białe, nieco pochylone ku tyłowi, z boku prawego przypięte, mógł być takim wieczornym strojem. Suknia do niego była następująca: Aksamitna, czarna, rękawy u niej długie, miały wstawione bufki z białego atłasu, mantilla czarna blondynowa; na szerokiej aksamitce czarnej zawieszony krzyż brylantowy lub złoty.

Szlafroczki więcej negliżowe są z atłasu gładkiego lub wybijanego; rękawy nie tak szerokie u góry, ale do mankieta namarszczane, szeroka spódnica i dosyć długa, pelerynka do tego mniejsza jak zwyczajnie obszyta wstążką, lub fredzelką, sznury szmuklerskie, do związania szlafroczka. Na takie szlafroczki używają grodenapl, tybet; w takim razie szlafroczek jest podszyty kolorową marseliną.

Fartuszki ciągle są w modzie, jest to bardzo elegancki i wygodny strój; noszą je z różnych materii, atłasowe, grodenaplowe, tybetowe, a nawet i merynosowe; upiększają je tylko obszycia, i tak: wstążki, hafty, garnirowania z atłasu lub grodenaplu wystrzępianego.

Mitenki czarne jedwabne, przezroczyste albo tiulowe gładkie, lub z tiulu haftowanego, które ledwo do łokcia dochodzą, są używane.

Mody Warszawskie

W tym roku salopy z rękawami mają pierwszeństwo przed salopami z pelerynką, jednak widzieć można piękne kosztowne salopy z pelerynami. Różne są gusta i o tem trudno sądzić.

Fiance już zarzucono, na to miejsce noszą kolementy z wstążek kolorowych. Jest to z merli zrobiony kołnierzyk, w formie kolementu, obszyty wstążką, na nim trzy razy wstążka ufałdowana; do związania używają długich wstążek, któreby przynajmniej za pasek z pół-łokcia spuszczone były.

Wiadomości literackie

P. Balzac napisał nowy romans pt.: *Le père Goriot*, który teraz się drukuje w dzienniku *Revue de Paris*, a potem osobno wyjdzie na świat. Zalety jego przewyższają wszystkie prawie wydane przedtem jego powieści i romanse. Ciekawe są szczegóły biografii literackiej tego pisarza, który potrafił znaleźć powszechną wziętość. We Francyi i u nas znają go tylko od roku 1829, w którym wydał on swój romans: *Les Derniers Chouans*, uważany za pierwsze jego dzieło, po którem już później nastąpiły: *La phisiologie du mariage* i *La Peau de Chagrin*. Lecz mało komu wiadomo, iż Balzac żył już w literackim zawodzie, od nikogo nieznany ani uważany, całe lat dziewięć wprzód i że wydał był przeszło 30 tomów romansów, które poumierały na drugi dzień po urodzeniu swojem. Pisał on pod różnemi zwyślonemi nazwiskami. Jeśli się komu zdarzyło czytać dzieła PP. Horacyusza Saint-Aubin, Villerglais, Saint-Alme, lorda R'Hoone, wszystko to były płody tegoż samego Balzaca. (...)

* * *

Elisa Mercoeur, młodziuchna panienka, autorka obdarzona niepospolitym talentem poetyckim, umarła niedawno w Paryżu z suchot, w ostatecznej nędzy. Kilka godzin przed śmiercią pisała czułe wiersze do ministra oświecenia P. Guirot, błagając go aby nie zostawił biednej jej matki bez wsparcia.

Oko dziewicy

Piękne jest oko dziewicy, kiedy w niem po raz pierwszy błyśnie świeżo zalotne miłości uczucie, tak czyste jak myśl o niebie.

Piękne jest oko dziewicy, kiedy tkliwem, niewinnem spojrzeniem uprzedza wyznanie kochankowi swej wzajemności, tym czarownym, ze drżeniem wymówionym wyrazem: „kocham...".

Piękne jest oko dziewicy, kiedy je litość ozdobi łzą jasną jak perła rosy rannej, wisząca na koronie świeżej lilii.

Lecz najpiękniejszem jest oko dziewicy, kiedy w chwili modłów i westchnień wznosi się do Boga i na lazurowem pogodnem niebie zawiśnie.

O! kto takie oko dziewicy widział, ten widział przeglądającego się w tem zwierciadle duszy anioła, co w tej chwili w niebie przenosił najczystsze, najpiękniejsze myśli i uczucia z oka dziewicy do Boskiej księgi nieśmiertelnych pamiątek...

T. M.

Sekrety toaletowe

Chcąc opalenizną z słońca marcowego spędzić z twarzy: — Bierze się ogórek świeży, inspektowy, obiera się, trze na tarce, wyciska sok z niego, cedzi przez serwetę i tym sokiem rano i wieczór twarz się obmywa, lekko ręcznikiem obcierając.

Pomada do utrzymania świeżej cery. — Pół łóta białego wosku, tyleż olbrotu i cztery uncye słodkiego olejku migdałowego, roztapiają się w słoju szklannym, który się stawia w rądel z wodą i na ogniu gotuje. Po czem dodaje się trzy uncye wody i mięszanina ta wylewa się do marmurowego moździerza i trze się tak długo, aż stężeje i żadnych grudek mieć nie będzie, po czem przydaje się kilka kropel balsamu de mekka i trochę wody różannej.

Pomada żeby ręce piękne były. — Trzeba wziąść migdałów gorzkich funt, oparzyć je i utłuc w moździerzu lub uwiercić w kamiennej misie, pół uncyi pięknego krochmalu i cztery żółtka świeże, wszystko dobrze wymięszawszy, gotuje się cokolwiek w garnuszku, wystudza i zachowuje do użycia. Tem można ręce myć i smarować idąc spać. Kładąc jednak zawsze na to rękawiczki z psiej skóry.

Proszek na zęby. — Łót sandałowego drzewa czerwonego i pół łóta chiny zetrzeć na najdelikatniejszy proszek, przesiać przez gęste sitko, potem dla zapachu dodać 6 kropel olejku bergamotowego i tyleż gożdzikowego. Proszek ten jest dosyć przyjemny, nie psuje emalii na zębach i tanio zastąpi Paryzki proszek znany pod nazwiskiem Poudre de Ceylan.

Na stracenie zbytniej czerwoności w twarzy. — Weź kwiatów: babczanego garści dwie, kwiatów konwalii także garści dwie, — nalej to białem lekkiem winem francuzkiem, wystaw na słońce przez dni kilka, przecedź i co wieczór tem twarz umywaj.

Sposób czyszczenia pereł. — Bierze się wody deszczowej pół kwarty syple się do tego węgla z drzewa lipowego pół łóta. Węgle te muszą bydź dobrze wypalone, potłuczone i przez muślin rzadki przesiane. Gotuje się tę wodę z węglem, a nad parą trzyma się perły zabrudzone; jak się rozgrzeją, zanuży się je ze trzy razy, ostudza się, przykrywszy ciepłym ręcznikiem, a potem wyciera się wolno a perły są tak piękne i świetne jak nowe.

Rozmaitości

Kobiety różnego koloru. Taki jest tytuł małego artykułu umieszczonego w Rozmaitościach Paryzkiego Dziennika: *Latarnia* czarodziejska. I tak: księżna d'Aiquillon podczas ciężkiej choroby, od głowy aż do stóp została czarną jak sadze, po chorobie wróciła zwyczajna białość. Druga osoba, której niewymienia to pismo, w chorobie była cała czarna wyjąwszy twarzy.

Lekarz Wendelstaed leczył żebraczkę, która po wielu zgryzotach i cierpieniach moralnych, dostała na ciele barwy szafirowej. Doktor Rostan w szpitalu Salpetriere widział kobietę, którą nadzwyczajne wypadki przez godzin 24 zamieniły z Europejki w Mulatkę. Drugą z tego samego powodu widział w pół zieloną, prawy bok czarny, lewy zaś żółty. Na koniec tenże sam lekarz opowiada, iż w roku 1815 pewna Panna mająca lat 48, nadzwyczajnej białości, przetrzymawszy kilkomiesięczną chorobę, dostała koloru miedzianego, później była ciągle zdrowa ale niczem się tej niekorzystnej cery pozbyć nie mogła.

Moja

Niechaj inne niebianki
Wywołują z nieba,
Mnie nadziemskiej kochanki
Do szczęścia nie trzeba.

Anielskiej nie chcę istoty,
Chcę tylko — kobiety,
Bogatej w ludzkie przymioty
I płci swej zalety...

Niech jak dzionek weselny
Tak tzy moje dzieli,
A, przy swojej śmiertelnej
Zgasną marnie anieli!

T. M.

Okręt pod nazwą Sześciu Sióstr

Zdarzenie prawdziwe, opowiedziane przez pana D'Arlincourt

Była to noc, niebo pogodne, morze spokojne było. Dwadzieścia osiem osób zajmowało pokład okrętu, wszystko im rokowało szczęśliwą przeprawę. Powietrze czyste, balsamiczne, śpiewy majtków kojarzyły się miłe z szumem fali, a kapitan Hadoul spokojnie siedząc obok Pani Mulfitte, jednej podróżnej, opowiadał różne przygody kraju rodzinnego.

O kilka kroków od nich, w jednej chwili powstał krzyk przestrachu. Płomień wybuchnął. Ogień, przez nieostrożność zajął się w okręcie i krzewił się z szybkością zatrważającą.

Co tylko moc ludzka ma w podziele najsilniejszego, najczynniejszego, wszystko użyte zostało dla zapobieżenia i przytłumienia okropnego niebezpieczeństwa. Lecz próżne zabiegi! wiatr powstał, horyzont się zaciemnił, pożar rozpościerał się wszędzie jak zwycięzca, płomień wznosi się, sunie, mnoży, otacza jedno po drugiem, a wkrótce, jak czarodziejskie koło obejmuje cały statek.

Było to w miesiącu kwietniu 1819 r. w dniach odmiennych wiosny.

Małe czółno, które pożar nie pochłonął przedstawiało jeszcze pewne zbawienie okrętowi Sześciu Sióstr, cisnęli się podróżujący bez ładu, porządku. Otóż nowa rozpacz! gibkie i małe czółenko nie jest w stanie pomieścić ich wszystkich. Oh! rozpaczy, czółno przepełnione... Kapitan, marynarze, szybko się namyślają jak temu zaradzić. Dla dobra całego zgromadzenia są potrzebne niektóre ofiary. Trzeba się pozbydź kilku osób, przeciążających czółno. Ale kogoż poświęcić? kogo wybrać? Dwóch niewolników Murzynów troskliwie i czule dozorowali Panią Mulfitte, która umierająca, wyciągała ręce do dziecka swego. Oczy kapitana obróciły się na dwie czarne postacie. Są już ofiary gotowe.

Ale jakże bezkarnie rzucać można te silne dzieci Senegalu? Bezwątpienia bronić się będą, a walka w pośrodku tak słabego statku zgubi wszystkich. Hadoul zasłoniwszy oczy, wyrokował że kobiety i dzieci padną ofiarą.

Murzyn usłyszał wyrok, a uderzywszy po ramieniu brata swego mówił jakieś słowa żywo i łakonicznie, potem obrócił się do Pani Mulfitte i rzekł:

On i ja ustąpiemy, a ty Pani ujrzysz ziemię... a spojrzywszy na kapitana rzekł tonem uroczystym. Przysięgnij, że zachowasz życie naszej Pani, a my zaraz, w morze... Ah! odpowiedział kapitan rozczulony, przysięgam, przed Bogiem.

Nie, dodała Pani Mulfitte, którą te słowa oświeciły, nie, nieprzyjmuję tego poświęcenia. Murzyni są młodzi, odważni, ich siły mogą bydź wszystkim przydatne, ale ja, nie użyteczny ciężar! To ja Panowie, ofiarowuję moje życie... wdowa... jestem gotową.

Biedna matka we łzach tonąc wyrywa dziecię swoje z rąk mamki, wznosi w górę Bogu polecając, a wśród błyskawic, oddaje go w ręce naczelnikowi okrętu.

Biedne niemowlę, niech go ucałujemy, rzekli obydwaj Murzyni, przyciskając dziecię białe do swych czarnych twarzy.

Bądź zdrów mały Paniczu! Zobaczemy się tam wysoko, — palcami wskazując na niebo! Potem w czasie bicia gromów, rzucili się w morze, obu przepaść bezdenność pochłania...

Cudzie nadspodziewany! Nie trzeba więcej ofiar. Poświęcenie wzniosłe rozbroiło i ułagodziło niebiosa. Wiatr się ucisza i burza łagodzi się ściekającym deszczem.

Cały okręt uratowany.

Sposób zachowania piór strojnych od mułów, którego używają mieszkańcy zamorscy. — Biorą wody wapiennej i gdy tej jest kwaterka, dolewają do niej wody czystej kwartę, maczają pióra w tej wodzie; suszą je na słońcu lub w miernie ciepłym pokoju. Takie pióra po wysuszeniu składają się w suchem miejscu,

Bułgarska krewniaczka „Kameny"

MÓWI się o trudnościach przy powstawaniu „Kameny" o kłopotach związanych z wydawaniem pisma literackiego w prowincjonalnym mieście, liczącym trzydzieści trzy tysiące mieszkańców, o wielu przeszkodach, które należało pokonać, aby miesięcznik tego rodzaju nie stał się efemerydą, ale ukazywał się regularnie przez sześć lat przedwojennych i wznowiony później przetrwał do dni dzisiejszych.

A tymczasem... Ale zacznijmy od początku. Gdzieś wiosną ubiegłego roku otrzymałem list od Czesława Janczarskiego, który będąc w Sofii poznał pisarza bułgarskiego Dymitra Dobrewa. Ten dowiedziawszy się o mojej książce „W kręgu Kameny" zapragnął ją poznać, gdyż sam borykając się również z ogromnymi trudnościami wydawał przed laty pismo literackie na prowincji.

Posłałem sofijskiemu koledze swoje wspomnienia, później przedwojenny numer „Kameny", poświęcony poezji bułgarskiej, nawiązała się między nami serdeczna korespondencja, wreszcie ofiarował mi autor tom swych esejów „O pięknie w życiu", a przede wszystkim dwa numery legendarnego już pisma o pięknym tytule „Swietłostruj", co można by przetłumaczyć jako „Zdrój światła", „Światłonośca" lub wręcz „Lucyfer" w dosłownym dodatnim znaczeniu tego wyrazu. Dowiedziałem się też z listu i wspomnień Dobrewa w przysłanej mi książce o okolicznościach towarzyszących wydawaniu tego pisma.

Wychodziło więc w Szorklewie. To nie żadne miasto jak Chełm czy Ostrzeszów, ale po prostu wieś, rodzinna wieś redaktora i wydawcy, gdzie nie było żadnych warunków do realizowania podobnej imprezy: brak drukarni, składu papieru i w ogóle odpowiedniego środowiska — mieszkańcy Szorklewa to zwykli rolnicy.

Ale są na świecie uparci fanatycy, którzy potrafią przezwyciężyć wszystko, aby dopiąć celu .W odległości 16 kilometrów od wsi znajduje się miasto Ruse, gdzie pismo drukowano, przeprowadzano korektę i ekspediowano. Autobusy wówczas na tej linii nie kursowały i odległość tę redaktor często przemierzał pieszo, co wymagało wiele ofiarności zwłaszcza zimą. I mieszkając na wsi Dobrew potrafił utrzymywać kontakty z wieloma pisarzami, uczonymi i działaczami społecznymi. Pismo, które zrazu było miesięcznikiem a później przekształciło się w dwutygodnik, wychodziło przez 13 lat. Przez ostatnie trzy lata ukazywało się już w stolicy: nieraz zawieszane przez cenzurę, kontynuowało swą działalność, póki wreszcie w kwietniu 1944 r. nie zostało zamknięte ostatecznie, przy czym redaktor nie uniknął rozprawy sądowej. W tych ciężkich latach było to jedyne pismo literackie w Bułgarii. W kwietniu 1968 r. uroczyście obchodzono 40-lecie ukazania się pierwszego numeru „Świetłostruja".

Leżą przede mną dwa egzemplarze tego białego kruka — miesięcznika (listopad 1935 r.) i dwutygodnika (listopad 1940). Podtytuł: „poświęcony oświacie, kulturze i literaturze". Format i papier gazetowy.

A treść? W miesięczniku oprócz utworów pisarzy bułgarskich przekład wiersza Kasprowicza, obok — jego zdjęcie i krótka nota informacyjna. Artykuł o L. Tołstoju jako powieściopisarzu i „Kryzysie i przełomie w ideologii Lwa Tołstoja", kolumna młodych. W n-rze dwutygodnika m. in. artykuł Nauma Czilewa „Adam Mickiewicz — człowiek, pisarz, patriota" (w 85-lecie śmierci) — i to w tym czasie, gdy Polska już od czternastu miesięcy doświadczała na sobie barbarzyństwa niemieckiej okupacji! W tym samym n-rze przekład artykułu A. Daudeta o Turgieniewie, jeszcze jeden artykuł poświęcony L. Tołstojowi, recenzja teatralna ze sztuki Korniejczuka „Płaton Kreczot".

Jak więc widzimy, pismo było ambitne, nie ograniczało się jedynie do kultury bułgarskiej. Postępowe, humanistyczne, walczyło o pokój, wierzyło w dobroć człowieka. I co nas specjalnie ujmuje, to jego zainteresowanie poezją polską. A że to zainteresowanie jest u redaktora Dobrewa trwałe, świadczą o tym jego parokrotne przyjazdy do Polski i kontakty z naszymi literatami, a w książce „O pięknie w życiu" eseje o Władysławie Broniewskim i Wilhelmie Machu. No i fakt, że zarówno syn jak i córka jego ukończyli filologię polską.

„Świetłostruj", bardziej szczęśliwy pod tym względem od „Kameny" i „Okolicy Poetów", ukazywał się dzięki finansowej pomocy społeczeństwa.

KAJ

Kamena str. 9

okolice sztuki

Wrocław 70

JZNÓW Wrocław! Nie wiadomo który to już raz Wrocław inicjuje imprezę artystyczną o skali przekraczającej stołeczne wyobrażenia, pomyślaną z rozmachem i dalekosiężnie, choć powód jej uruchomienia jest okazjonalny. Zbliżające się ćwierćwiecze powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Polski postanowił uczcić na miarę znaczenia i trwałości tego historycznego faktu. Czymś na stałe włączonym w strukturę przestrzenno-urbanistyczną miasta, widocznym na co dzień i na długo, uczestniczącym w kształtowaniu społecznej wyobraźni. Stąd właśnie sympozjum plastyczne „Wrocław 70".

Do udziału w nim zaproszono kilkudziesięciu obiecujących oraz najwybitniejszych artystów o niezwykle zróżnicowanych postawach twórczych. Są wśród nich tacy, którzy spełnią oczekiwania organizatorów w tym sensie, że opracowane przez nich i zrealizowane następnie przy pomocy wrocławskich fabryk i konstruktorów projekty form przestrzennych czy form organizujących przestrzeń miejską będą miały walor trwałości, zapewniony m.in. przez oferowane przez miasto materiały: metale, w tym kolorowe, szkło, ceramikę, drewno, tworzywa sztuczne, prefabrykowane płyty zbrojone. Formy te, wchodzące w kontakt z przestrzenią miasta w różnych jego punktach, będą nieruchome lub kinetyczne — jak można sądzić na podstawie pierwszej roboczej dyskusji uczestników sympozjum, która odbyła się na początku lutego.

W czasie dyskusji wyłoniła się też diametralnie odmienna koncepcja artystyczna, związana z żywym dziś nurtem tzw. sztuki efemerycznej. Jej wyznawcy, bardzo czynni i zdecydowani, utożsamiają twórczość z myśleniem, z kreowaniem nowych idei artystycznych, które mogą, lecz wcale nie muszą być materializowane pod postacią zobiektywizowanej formy. Mówiąc inaczej chodzi im o sztukę mentalną, a nie manualną, zależną m.in. od rzemieślniczej sprawności dłoni artysty. Nie obchodzi ich trwałość materiału, przeciwnie, poszukują tworzywa łatwo ulegającego zniszczeniu, nietrwałego, żeby nie powiedzieć trywialnego. Może nim być np. smalec (europejskie precedensy), lód, papier. Za wystarczający ślad po takich działaniach artystycznych uważają dokumentację fotograficzną, opisową, a także foniczną, jeśli zjawisku towarzyszy określony zespół dźwięków. W jaki zresztą inny sposób utrwalić działanie, sprowadzające się np. do nakrycia ogromnym namiotem katedry wrocławskiej, o kubaturze kilkunastopiętrowego wieżowca, co właśnie — pół żartem, pół serio — zaproponował jeden z uczestników sympozjum, a drugi następnego dnia powtórzył, degustując autora pomysłu.

Organizotorzy i mecenasi sympozjum „Wrocław 70" — m.in. władze polityczne i administracyjne miasta, Towarzystwo Miłośników Wrocławia (jakiego Lublin zapewne nigdy się nie doczeka) — z uwagą przysłuchiwali się gorącym, mówiąc oględnie, dyskusjom, którym przewodzili nie ustający w swej elokwencji artyści: Tadeusz Kantor i Kajetan Sosnowski. Trudno powiedzieć, żeby wszystkie koncepcje „odpowiedzialnych" — to także nowe słowo-definicja artysty — przypadły im do gustu, na pewno chcieliby, aby sympozjum pozostawiło po sobie ślady materialnie trwałe, niejako pomnikowe. Pragnienie w końcu zrozumiałe, choć w swej perspektywie kulturowej nieco zablokowane. Wrocławianie nie byliby przecież wrocławianami, czyli ludźmi szybkiego refleksu i elastycznego myślenia, gdyby te swoje pragnienia z uporem lansowali. Słowem całkowitym zaufaniem obdarzyli artystów, stwierdzając jednocześnie, że to oni właśnie są odpowiedzialni za artystyczny kształt sympozjum. „Służymy wam wszelką pomocą techniczno-materialną i organizacyjną, na jaką stać nasze województwo. Reszta spoczywa w waszych rękach". Można przypuszczać, że jubileusz ćwierćwiecza powrotu Polski na Ziemie Zachodnie i Północne wejdzie na stałe do historii sztuki najnowszej. Takim więc czy innym sposobem Wrocław wznosi na swój jubileusz pomnik bodaj najtrwalszy, przewyższający wytrzymałością stal i żelbet.

Z lubelskich artystów w sympozjum uczestniczą Jan Ziemski i Adam Styka; w pracach grupy dwunastu krytyków i teoretyków bierze udział niżej podpisany. W tym miejscu warto też odnotować, że podczas lutowej dyskusji odżyła, pod inną nazwą, idea Muzeum Sztuki Aktualnej, opracowana kiedyś i częściowo zrealizowana przez ekslublinianina Jerzego Ludwińskiego. Odżyła z taką mocą, że można mieć nadzieję na powtórne i pełne jej ucieleśnienie. Wrocław jako centrum dokumentacji i poszukiwań artystycznych, to myśl ze wszech miar uzasadniona warunkami i pozycją tego miasta, jego środowiska twórczego i władz. Brak tego centrum jest przepastną luką w polskiej kulturze artystycznej, wchłaniającą w zapomnienie wiele wartościowych idei twórczych, zrodzonych we współczesności.

IJK

z bocznej trybuny

„Szwender"

DZIŚ lubelscy miłośnicy sportu motorowego chodzą na mecze żużlowe. Lat temu 15 czy nieco więcej mówiło się inaczej: „idę na Szwendra".

Włodzimierz Szwendrowski należał do najbardziej utalentowanych polskich żużlowców. Kariera jego była błyskawiczna. Treningi zaczął w maju, a już w październiku zdobył mistrzostwo Polski, pozostawiając w pobitym polu takie ówczesne sławy, jak Olejniczak, Raniszewski czy Fijałkowski. To działo się w roku 1951. Szwendrowski miał wtedy 20 lat. Wprawdzie na motocyklu jeździł od 16 roku życia i od tegoż roku próbował swych sił w wyścigach ulicznych, a mając lat 18 był trzeci na mistrzostwach Polski w kategorii sportowej, lecz dopiero na czarnym torze objawił się jego talent. Miał znakomitą technikę i taktykę, świetny refleks, a przy tym jeździł odważnie, nawet brawurował. Tłumy widzów wstrzymywały dech z wrażenia, gdy Szwender w czasie jazdy na prostej podnosił przednie koło swego motoru. Ciężar pojazdu i kierowcy spadał więc na to tylne koło napędowe, dając mu przez to lepszą przyczepność, a zatem i większą szybkość. Zresztą zyski na szybkości nie były za wielkie — ale za to jaki efekt dla widzów. Dziś nikt już tak nie popisuje się, gdyż przepisy żużlowe nie zezwalają na podobną jazdę jako niebezpieczną.

Szwendrowski był przy tym wszystkim szczęściarzem. Choć różne wypadki na żużlu zdarzają się, on nie miał ani razu trwałej kontuzji. A przecież jakie miał kraksy! Na meczu w Warszawie ktoś zajechał mu drogę. Nie mając innego wyboru skierował swoją maszynę na bandę. Banda poszła w drzazgi na długości 25 metrów, Szwendrowskiego wyrzuciło na głośnik stojący na wysokiej podstawie, odbił się od tego głośnika i spadł pomiędzy publiczność. I nic. Następnego dnia znów startował. W Linzu, na meczu z Austrią, rozgrywanym wieczorem, nagle zgasło światło. Zapanowały całkowite ciemności. Lublinianin świadomie wywrócił się, inni zawodnicy zrobili to samo, bo taka jest praktyka. Pomyślnym trafem nie jechali obok siebie, toteż nikomu nic się nie stało.

Jeśli miał Szwendrowski jakieś wypadki, to poza torem żużlowym, wynikały one z popuszczenia sobie cugli w życiu osobistym. Nie lubi o tym mówić, bo wyłączyły go na długi czas z życia społecznego. Są to przykre wspomnienia. Sprawy te były zresztą w pewnym sensie pochodną jego dalszych sukcesów sportowych: w roku 1955 zdobył ponownie mistrzostwo Polski. W tym też roku w czasie meczu Polska—Anglia w Warszawie pokonał mistrza świata, Petera Cravena. W meczu zwyciężyli Anglicy, ale Szwendrowski wygrał prawie wszystkie swoje biegi. Sukcesy zaczęły przewracać mu trochę w głowie. Tymczasem w życiu obowiązują podobne zasady, jak za kierownicą: im szybciej się jedzie, tym mocniejsze trzeba mieć hamulce i tym bardziej uważać. On zaczął zaniedbywać te zasady.

Po kilku latach przerwy podjął treningi i zaczął występować ze zmiennym powodzeniem, na ogół jednak spisywał się nieźle. Ostatni raz startował w roku 1962 we Wrocławiu na zawodach „O Złoty Kask". Zajął III miejsce i zrezygnował z dalszej kariery. Jego rówieśnicy, lub prawie rówieśnicy, Żyto, Tkocz, czy Pociejkiewicz, jeżdżą do dziś. Szwendrowski uważa, że żużel jest tego rodzaju sportem, iż nie powinno się uprawiać go dłużej, niż do 30 roku życia, a w ogóle jest za tym, by powyżej 35 roku życia nie uprawiać wyczynowo żadnego sportu. Wymagania treningowe są dziś takie, że nie można znaleźć dostatecznie dużo czasu na nie i na pracę i awans zawodowy oraz na życie rodzinne. Więc należy się wycofać. Chyba, że się jest zawodowcem, jak 37-letni dziś Ove Fundin, czy 38-letni Barry Brigs. Nie ma natomiast nic bardziej żałosnego niż starzejący się sportowiec, który uparcie trzyma się boiska, gdyż nie widzi innych możliwości zarobienia na kawałek chleba.

Włodzimierz Szwendrowski ukończył studia politechniczne, jest inżynierem mechanikiem, pracownikiem naukowo-technicznym Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie. Na mecze żużlowe w Lublinie chodzi tylko w wyjątkowych wypadkach. Ale to chyba dlatego, że te mecze nie są już tak pasjonujące jak w czasach, kiedy on walczył na tym torze z najlepszymi w Polsce. Ze sportem nie zerwał jednak. Działa w Głównej Komisji Żużlowej Polskiego Związku Motorowego, wyjeżdża czasem z reprezentacją Polski na mecze zagraniczne (był m.in. na finałach kontynentalnych mistrzostw świata w Ufie w ZSRR). Raz w roku jeździ też na miesiąc na Węgry, gdzie prowadzi zajęcia na obozie szkoleniowym trenerów i kadry węgierskiej. Żużel jest tam dopiero w powijakach i Węgrzy chętnie zaangażowaliby „Szwendra" na stałe; podobnie zresztą, jak niejedna drużyna w Polsce. On jednak nie chce, ceni wyżej mało efektowną pracę na uczelni. I to dobrze, a jednocześnie szkoda. Bo kto może być lepszym wychowawcą młodych zawodników niż człowiek, który wie, że dzięki sportowi można błyskawicznie wznieść się na szczyty powodzenia i popularności — i że szczyty graniczą z przepaścią?

R.W.

System partyjny PRL

PRACA Michała Sadowskiego „Przemiany społeczne a system partyjny PRL"*) podejmuje doniosłą społecznie problematykę procesu kształtowania się systemu partyjnego oraz roli społecznej partii politycznych. W sposób ewidentny ukazuje zmieniające się realia życia społecznego, procesy integracji i różnicowania się społeczeństwa naszego kraju oraz ich wpływ na kształtowanie się mechanizmu politycznego państwa.

Rozważając zależności pomiędzy socjalistycznymi przemianami społecznymi zachodzącymi w naszym kraju a rolą społeczną partii tworzących polski system partyjny, autor wniósł niemały wkład w wypełnienie luki, jaka istnieje w dziedzinie opracowań problematyki polskiego systemu partyjnego, bowiem w kraju naszym uderza dysproporcja między znacznym zainteresowaniem problematyką systemu partyjnego PRL, a szczupłością, bądź fragmentarycznością opracowań na ten temat. Toteż pozytywnie należy ocenić sam fakt podjęcia tego tematu w sposób monograficzny tak ze względów teoretycznych i ogólnopoznawczych jak i z punktu widzenia potrzeb bieżącej praktyki politycznej.

Autor przyjął trójczłonową koncepcję struktury swej pracy. I tak w części pierwszej, poświęconej teoretycznym założeniom socjalistycznych systemów partyjnych, omawia terminologiczne i teoretyczne aspekty pojęcia „systemów partyjnych" — ich klasyfikacji oraz typologii partii w państwach socjalistycznych, jak również precyzuje specyfikę socjalistycznych systemów partyjnych i zasad ich funkcjonowania w świetle przede wszystkim literatury polskiej i w niektórych przypadkach zagranicznej. W części drugiej, w oparciu o materiał statystyczny z zakresu przemian struktury społeczno-zawodowej, a w braku danych czy opracowań statystycznych niektórych kwestii czy okresów w oparciu o obliczenia szacunkowe, autor stwarza syntetyczny obraz różnorodnych zjawisk mieszczących się w pojęciu „przemiany społeczne". Wskazuje na przemiany w łonie klasy robotniczej, polegające na zmianie jej pozycji i roli społeczno-politycznej, zmianie jej składu zawodowego, zmianie poziomu stale wzrastającego wykształcenia, co prowadzi do likwidacji bądź zatarcia zróżnicowania i dezintegracji charakterystycznej dla okresu międzywojennego. Po przyczynkowej tylko analizie przemian społecznych na wsi, a następnie analizie istoty przemian środowisk inteligencji i pracowników umysłowych w Polsce Ludowej, przesądza o permanentnym przebiegu integracji międzyklasowej i narodowej.

Część trzecią pracy stanowi geneza i kształtowanie się systemu partyjnego PRL w ujęciu polityczno-socjologicznym, ze szczególnym uwzględnieniem zmian w strukturze składu społecznego i funkcji partii politycznych.

Polemiczne rozważania w części pierwszej, obnażające braki i nieścisłości w kwestii terminologii i typologii partii politycznych i systemów partyjnych na obecnym etapie badań, doprowadziły do znacznego jej rozbudowania, co wydaje się zakłócać proporcje tejże części w stosunku do pozostałych. Budzi szczególne refleksje zaprezentowany przez autora pełny schemat klasyfikacji systemów partyjnych (s. 32), w którym wymienione zostały „system partii dominującej" za M. Duvergerem i „system partii hegemonicznej" za J. J. Wiatrem.

System partii dominującej autor scharakteryzował następującymi cechami: 1) absolutną bądź trwałą dominacją jednej partii nad resztą partii politycznych, 2) brakiem koalicji w sprawowaniu rządów w państwie, 3) istnieniem mało skutecznej opozycji w postaci partii nie uczestniczących w sprawowaniu władzy państwowej (s. 33). Zarówno termin określający ten system partyjny, jak i cechy charakteryzujące go nasuwają wątpliwości ze względu na użycie relatywnych i nieostrych sformułowań, mogące doprowadzić w konsekwencji do błędnego zastosowania tej koncepcji w praktyce. Trudno bowiem ustalić, w jakim przypadku dominację partii można nazwać absolutną, albo też ile ma ona odnieść kolejnych zwycięstw w wyborach, by jej dominację uznać za trwałą. Praktyka życia politycznego wydaje się potwierdzać niniejsze wątpliwości. I tak aktualny przykład dla tej kwestii podawany w literaturze (J. J. Wiatr „Społeczeństwo" PWN 1964 r.) na istnienie „systemu partii dominującej" w Indiach zdezaktualizował się raczej, ponieważ partia kongresowa (dominująca — przyp. MŻ) w pierwszym kwartale 1966 r. wybory przegrała. Również pewne okresy, niejednokrotnie dość długiej przewagi jednej z partii w burżuazyjnym systemie dwupartyjnym, można by z powodzeniem scharakteryzować cechami przypisywanymi przez autora „systemowi partii dominującej", w których trudno mówić nawet o względnej równowadze sił dwóch partii współzawodniczących o władzę w państwie, jak też o istnieniu silnej opozycji w postaci drugiej partii pokonanej w wyborach.

Określenie zaś socjalistycznych systemów partyjnych, składających się z więcej niż jednej partii, jako systemów partii hegemonicznej prowokuje do dyskusji z punktu widzenia ciężaru gatunkowego samego słowa „hegemonia", które mocno eksponując element przewagi, nazbyt chyba przytłacza moment współpracy międzypartyjnej, stanowiący trwałą zasadę w socjalistycznych systemach więcej niż jednej partii. Cechę trwałości tej zasady w systemie polskim kilkakrotnie podkreślał Władysław Gomułka [1]). Termin „partia hegemoniczna" nie znajduje też potwierdzenia w oficjalnych wypowiedziach przywódców. Dlatego też należałoby poszukać takiego rozwiązania tej kwestii terminologicznej, które przy podkreśleniu kierowniczej roli partii komunistycznej w stosunku do państwa socjalistycznego dałoby również wyraz istnieniu w określonych dziedzinach życia państwowego inspiracji politycznych ze strony partii sojuszniczych. Nie przesądzając o ostatecznym rozwiązaniu tej kwestii, sądzę, że wskazane byłoby rozważyć możliwość stosowania w tym względzie innej terminologii, np.: „socjalistyczny system wielopartyjny", „system koalicji stałej typu socjalistycznego", albo „system partii zblokowanych".

Mimo że autor wielu spraw nie był w stanie rozważyć, ocena recenzowanej pracy wypada bardzo korzystnie. To co autor przedstawił jest przykładem dobrze zorganizowanego warsztatu naukowego, czego efektem jest materiał pobudzający do wieloaspektowych refleksji na temat systemu partyjnego w PRL, wciąż jeszcze nie traktowanego w sposób odpowiadający jego randze.

Jasny i przystępny język pracy zachęci niewątpliwie wielu do przeczytania tej pożytecznej książki, która z powodzeniem może być percepowana przez szerszy krąg czytelników interesujących się zagadnieniami społeczno-politycznymi.

Marek Żmigrodzki

1) Przemówienia lipiec 1964 — grudzień 1966, KIW 1967 „Przemówienie na IV Kongresie Zjednoczenia Stronnictwa Ludowego w Warszawie wygłoszone 29 XI 1964 r." s. 123, „Przemówienie na VIII Kongresie Stronnictwa Demokratycznego wygłoszone 5 II 1965 r." s. 193, V Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 11 XI—18 XI 1968 r. — stenogram, KIW 1969 r. „Referat tow. Władysława Gomułki" s. 143.

*) Michał Sadowski, Przemiany społeczne a system partyjny PRL, Książka i Wiedza 1969, s. 238.

Antoni Madej

Arkadia

Rudy krajobraz
prawie miedzioryt

Wrzesień skropił dojrzałość lata
napełnił nią drzewa kwiaty
trawy

bursztynowe nacieki żywic
spływają po korze sosen
rudym płomieniem

Żółtość aksamitek
rzucona pasmami wzdłuż drożyn
odbija spojrzenie w głąb źrenic
wzmaga intensywność niepokoju

ale już czerwień szałwii
prężna siła męskości
budzi nadzieję
zwycięstwa

W oranżach stromych
kasztanów
musuje witalna moc słońca
dzwoni jak alt głosu
roześmianej Diany
za ścianą wzgórza
goniącej jelenia

Largo słonecznych skrzypiec
wysokich sosen
przeciąganych smyczkami
blasków
rozbrzmiewa w wąwozach
pnie się w górę
w otwarty raj błękitu

Nałęczów
polska Arkadia
ucisza serce

Wojciech Kawiński

Przywoływanie

Przywołano nas tutaj
abyśmy zapomnieli

Kładą się na nas
bogato kolory jak sny zawikłane
a blacha słońca
rozcina czoła

Kolana kobiet
toczą się przed nami
dymy zasypują karłowatą zieleń
szyby otwarte jak wrzask

Jest gorzki dzień
zwykłe popołudnie

Pusty pokój
znikliwość wszystkiego
perspektywa jutra

Odwrócony bieg strumienia

* * *

Z winy
Pozostawiłem tylko
Cząstkę
Wykruszoną kartkę
Pierwsze litery występku
Podpis
Czyniony dłonią niewprawną
I rozmazany ślad
Ognistej łzy
Do odczytania

Jan Lohmann

Wariat

przechodniów na ulicy za
rękawy chwytał
złościł się krzyczał
gdzie jest Ariadna
gdzie
córka wielkiego Minosa
ona mi rękę poda

jeśli ojczyzna niebem
ona oczami nieba
jej ręka kluczem żurawi
w tym zimnym labiryncie

i bił po twarzy
gdy się ktoś głupio roześmiał

podobno kochał kiedyś
kochał zbyt mocno
brunetkę Adrianę
i więcej
nic o niej nie wiem
on jak się zjawiał
tak znikał

w ulicy
w powietrzu
sam w tym ogromnym mieście
pałacu
Minotaura

moje LEKTURY

Inicjatywa Rzeszowa

RZESZOWSKI ośrodek naukowy podjął nową, dużej miary inicjatywę, której wynikiem jest okazała księga opatrzona tytułem: „Stanisław Piętak. Poeta i prozaik". Poprzedzało ją podobne wydawnictwo poświęcone Wilhelmowi Machowi, w przygotowaniu zaś znajduje się publikacja związana z życiem i twórczością Jana Wiktora. Jeśli dodamy inne wydawnictwa ośrodka rzeszowskiego, otrzymamy imponujący obraz wielkiego wysiłku i dużych ambicji. Wyników zaś mogą zazdrościć ośrodki większe nawet od Rzeszowa. Wysiłek ten służy przede wszystkim pisarzom związanym z Ziemią Rzeszowską, ale przecież nazwiska, których twórczość stała się przedmiotem naukowego opracowania, mają duży ciężar gatunkowy. Przy tym, jak choćby w książce o Piętaku, sposób rozwiązywania naukowej problematyki nie odbiega zbytnio od nowych wymagań metodologicznych. Powiedziałbym nawet, że niekiedy dochodzi tu do swego rodzaju nowinkarstwa.

Księga Piętakowska, która — jak pisze w „Słowie wstępnym" Stanisław Frycie, a pod jego redakcją rzecz się ukazała — przygotowana „niemałym trudem", została zrealizowna wyłącznie piórami autorów rzeszowskich. To godne podkreślenia i uznania. Słuszny był też punkt wyjścia, by niejako odwrócić dotychczasowe proporcje w widzeniu twórczości autora „Młodości Jasia Kunefała". Do tej pory przedmiotem krytycznej obserwacji pozostawała jego poezja, tu natomiast — większość szkiców i rozpraw dotyczy jego prozy. Jeden ze szkiców (L. Forczka) mówi nawet o próbach dramatycznych Piętaka; szkoda trochę, że — dla pełni obrazu wysiłku pisarskiego Piętaka — nie przedstawiono w osobnym opracowaniu jego bogatej, zwłaszcza po wojnie, eseistyki i krytyki literackiej. A bibliografia Piętaka wskazuje na obfitość tego rodzaju wypowiedzi. Być może dałoby się z nich dokładniej odtworzyć zarys programu pisarskiego Piętaka, jego związek z różnymi tradycjami, zwłaszcza z szeroko pojmowaną tradycją chłopską.

Bogactwo książki, o której tu mowa, nie da się przedstawić w krótkim omówieniu, tym bardziej nie ma miejsca na podejmowanie dyskusji czy wprowadzanie własnych punktów widzenia. Warto jednak wskazać na pozycje ciekawsze i godniejsze uwagi. Redaktor całości, Stanisław Frycie, podejmuje, w oparciu o wspomnienia, próbę biografii literackiej Piętaka. Jest ona sumienna, ale skrótowa, w czym autor niewiele zawinił, ograniczał go bowiem stan źródeł. Materiały archiwalne (listy, dokumenty) spoczywają jeszcze w archiwach prywatnych i przyjdzie może czekać na nie latami. A bez nich wygląd biografii pisarza będzie zawsze niepełny.

Poezję Piętaka interpretują szkice Józefa Nowakowskiego i Stanisława Gębali. Pozornie wykluczają się ich stanowiska, bowiem według Nowakowskiego (chociaż respektuje on inne głosy o poezji Piętaka) nie egotyczny i osobisty charakter liryki Piętaka, nie wyraźny w niej dramat egzystencjalny liczy się najbardziej, lecz fakt, że *jest to poezja w dużej mierze oparta o emocje życia zbiorowego i w tym zawiera się jej specyficzna moc*. W liryce tej *chodzi o głębszą treść zbiorowych emocji, które sięgają aż po specyficzną metafizykę plemiennych atawizmów*. Inaczej widzi sprawę Piętaka S. Gębala: *Stanisław Piętak pozostanie dla nas poetą malarzem wiejskich krajobrazów*. Świetny jest Piętak jako poetycki pejzażysta, a nie — jak tego pragnął — jako rewelator ludzkiego życia duchowego.

Są to więc punkty widzenia pozornie sprzeczne. W rzeczywistości dopełniają się, ukazują dwa obszary poezji Piętaka. Podjęty przez Nowakowskiego motyw „barbarzyństwa" na pewno należy do istotnych (tyle, że w terminologii należałoby się zatroszczyć o większą ścisłość znaczeniową), podobnie jak pejzaż, który starał się opisać Gębala. W jego szkicu warto było — wspominając o rozmaitych pokrewieństwach i zbieżnościach — wskazać na związki pejzażu i innych elementów poetyckich u Piętaka z poezją Czechowicza, a są one zupełnie oczywiste.

Szkice poświęcone prozie Piętaka pisane są w większości z poczuciem winy ze strony autorów, oczywiście winy niezawinionej. Mają oni przekonanie, iż piszą o dorobku Piętaka mającym mniejszą wartość i niższą cenę u krytyki. Dobrze jednak, że autorzy nie poddali się stereotypowi i nie ominęli Piętakowskiej prozy. Jakie tam są ciekawe rzeczy, pokazał choćby w niezwykle interesującej rozprawie „O języku prozy Stanisława Piętaka" Stefan Reczek. W paru szkicach mówi się o zbieżnościach prozy i poezji Piętaka, a Aniela Niewolak-Krzywda w artykule „Rzecz poetycka" wskazuje nawet na równoległość obrazów i wątków powieści „Młodość Jasia Kunefała" i poematu „Ziemia odpływa na zachód". Zresztą całą prozatorską twórczość Piętaka przenika żywioł liryczny, zaś w poezji dochodzą do głosu elementy epicko-fabularne.

Wśród rozpraw poświęconych prozie wspomnieć należy jeszcze o pracy Piotra Żbikowskiego, poświęconej narratorowi w powojennych powieściach Piętaka. Precyzyjna i ścisła, zawiera końcowy wniosek, iż *konstrukcja narratora i jego funkcja w powieści powojennej Piętaka jest wypadkową ścierania się z sobą na terenie jego prozy dwu sił — obecnej ciągle w świadomości pisarza tendencji do bezpośredniego, spontanicznego ujawniania swej osobowości, do właściwego liryce autokratycznego kształtowania rzeczywistości przedstawionej, do graniczącej z ekshibicjonizmem szczerości w prezentowaniu własnych przeżyć oraz ideowo-estetycznych przeświadczeń, z dobrowolnie przyjętymi i realizowanymi konsekwentnie, choć nieraz kosztem ogromnych wyrzeczeń, zasadami normatywnej poetyki socrealizmu z lat 50-tych.*

Całości dopełniają dwie bibliografie. Zofia Sokół dała ułożoną chronologicznie bibliografię tekstów Stanisława Piętaka, natomiast Jadwiga Rospond opracowała przegląd opracowań twórczości autora „Plamy".

Obie bibliografie przeszły przez dosyć nieuważną korektę. Parę tylko przykładów: w pierwszej — E. Hołdę mianowano Haldą, Czechowiczowski wiersz „nuta na drwony" przypisano Piętakowi, zaś pod datą 1959 r. (s. 291) figuruje tytuł pisma „Poezja", którego wówczas jeszcze nie było. W opracowaniu drugim Misiołka nazwano Misiałkiem, Papiera Peiperem, zaś Sadkowskiego Sadowskim. Nie rozszyfrowała autorka pseudonimu Czechowicza (H. Zasławski), choć nieraz to już uczyniono, m. in. w „Słowniku współczesnych pisarzy polskich", nie dotarła też do wypowiedzi Czechowicza o Piętaku w piśmie „Wołyń".

To są jednak niewielkie skazy na pracach obu autorek, które dokonały wielkiej pracy, wyręczyły każdego, kto zechce kiedyś poważniej zająć się dziełem Piętaka. Trzeba słowa te odnieść także do wysiłku wszystkich autorów. Nie złożył się on na monografię dorobku pisarskiego poety z Wielowsi, ale zbudował solidne dla niej podwaliny, a przyszły badacz musi się liczyć z dokonanymi tu ustaleniami.

Tadeusz Kłak

Stanisław Piętak. Poeta i prozaik. Zbiór artykułów i rozpraw pod redakcją Stanisława Frycie. Rzeszów 1969. Rzeszowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie.

Krzyżówka nr 5

POZIOMO:
1. polski pisarz współczesny, medalista olimpijski, 7. instytucja kredytowa, 9. z niego powstała Ewa, 10. zbiorowe darowanie kar, 14. biblijny żeglarz, 15. francuski malarz, którego syn jest wybitnym reżyserem filmowym, 18. drapieżniki, 19. imię angielskiej autorki kryminałów, 19. związek organiczny używany w farmaceutyce, 20. rzeka Kielecczyzny, 22. najdłuższy dopływ Dunaju, 24. cios kończący walkę, 26. klub sportowy ostrowiecki, 27. popularny płaz, 29. Mickiewicz, 30. kwiat lub brat Mojżesza, 32. marcowy solenizant, 33. A. największy czynny wulkan w Europie (wspak), 35. ogród, 37. źródło mineralne w Iwoniczu, 38. tkanina na wsypy, 39. dramat muzyczny, 41. węgierski kompozytor, twórca wielu operetek, 44. organ jednego ze zmysłów, 46. wielbłąd jednogarbny, 48. posążki bóstw, 49. jeden ze zmysłów, 50. nomenklatura.

PIONOWO:
1. czasopismo rolnicze, 2. wybitny współczesny poeta polski, 3. wynalazca dynamitu, 4. zdobywca I nagrody na konkursie chopinowskim w 1927 roku, 5. grupa społeczna w feudalnej Polsce, 6. prowincja zamorska Hiszpanii na wybrzeżu Atlantyku w Afryce, 7. głos męski, 8. przebywał na niej „Ojciec zadżumionych", 11. krótkotrwały zwyczaj, 12. muza pieśni miłosnej, 13. droga do przebycia, 17. powieść Dostojewskiego, 19. lekarz i filozof grecki, reformator starożytnej medycyny, 21. o bojach w jej okolicy pisała „Kamena" przed miesiącem, 23. miasto w zachodniej Rumunii, 24. część świątyni ograniczona kolumnami, 25. otwór wulkanu, 28. rzeka graniczna między ZSRR i ChRL, 31. inwentaryzacja, 33. powstały tam I, II i IV część „Dziadów", 34. panieńskie ziele, 35. ziemia uprawna, 36. dowódca I Frontu Ukraińskiego przy wyzwalaniu Polski, 40. długie okresy dziejowe, 42. główne miasto Jemenu Południowego, 43. dokuczył tej zimy, 45. do siania, 47. surowiec na strucie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

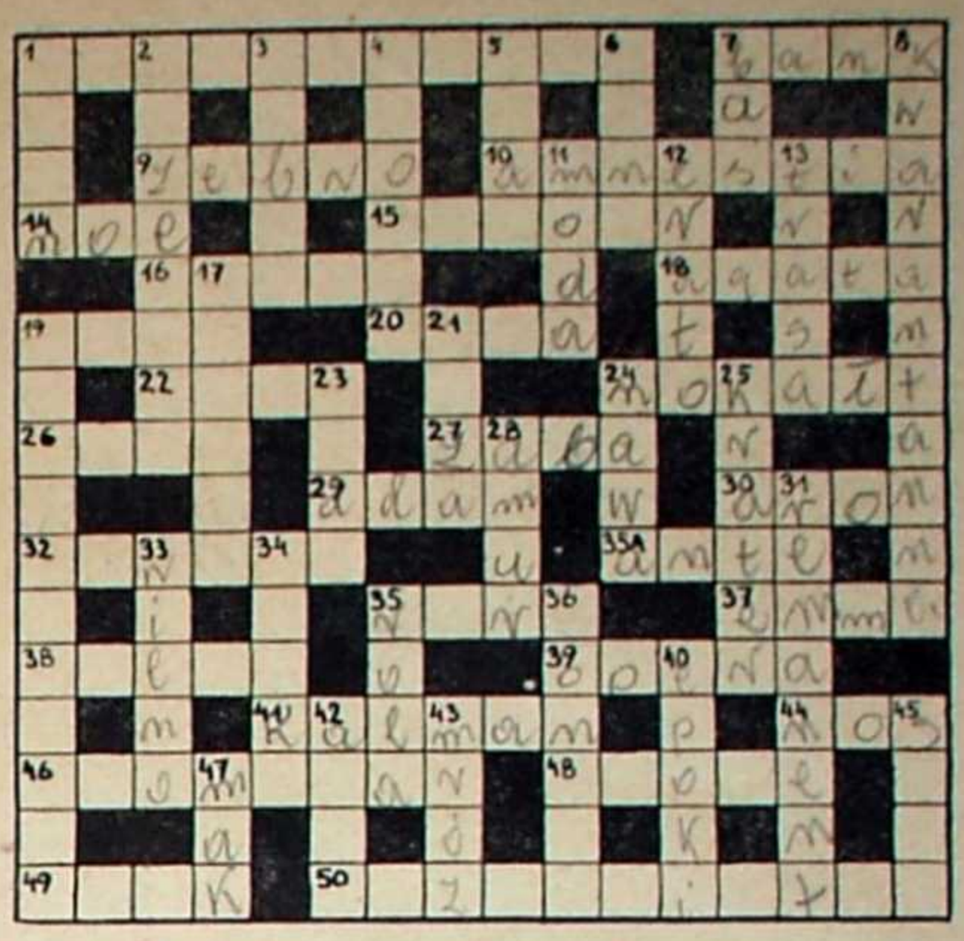

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3

POZIOMO:
przewodnik, konus, Szaniawski, Atlantyk, kantyczki, anoda, Kali, Chiwa, Andy, Okraj, ikona, sago, socha, arka, fajka, Artamonow, Szalapin, strzelnica, wiata, mieszkanko.

PIONOWO:
Pasek, Einstein, dywiz, kwit, komasacja, noktowizor, spekulacja, Kain, cadyk, kanon, Krasnystaw, falcyzacja, diafragma, katar, astma, gazownia, Kant, trzos, wiano, Istm.

NAGRODY WYLOSOWALI:

Henryk Żak, Lublin, Puchacza 17 m. 11, Bogumiła Trus, Lublin, Męczenników Majdanka 81b m. 3, Zbigniew Zadora, Lublin, Pawia 41, Maria Bratkowska, Biała Podlaska, Brzeska 51.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Porno-Poste

Tak, tak, Drodzy Czytelnicy i Korespondenci. — u nas także! Zachód kąpie się w fali pornografii, chuligaństwo, niezależnie od szerokości geograficznej, ma do społeczeństwa stosunek pornograficzny, więc i my zdecydowaliśmy się upłynnić nieco tej podziemnej twórczości. Wpierw ogólna inwokacja do pornografii i niejako historiozofia tej ostatniej.

ŻE CZEM? NON PLUS...

Pieśń przybiera różne formy,
Heroiczne i liryczne, polityczno-
-satyryczne.
Jednak rzadko się już zdarza
Ludziom słyszeć bez ironii
Najwspanialszej formy pieśni,
Znakomitej pornofonii.
Pornofonia w niebo wzlata,
Elitarnie się rozwija,
Kroczy dumnie pośród snobów oraz
Panien w starszych latach.
Każda z osób tych rozgłasza sławę „Je
t'aime" i „Tomasza".
Fama „Je t'aime" się zagnieżdża
Wszędzie, gdzie się da i nie da,
Jest przebojem naturalnie,
Choć właściwie nikt jej nie zna.
Prasa, radio, telewizja zaprzestały
kultywować
Wdzięki głosów, przydech gracji.
Wszyscy jednak zgodnie mówią,
Że i w tym nie miały racji.
Funkcjonariusz z lupą w dłoni
Śledzi, bada skutki muzy.
Patrzy: ławka, młodzian z panną.
Słuchaliście — je tem tuzy.
Tyś autorem, ty ofiarą.
Panna zbladła, młodzian powie:
Panie władzo, mnie to nuży.
Ludzie wiedzą, krytykują.
Skąd wrażenia?
Zapytanie o tłumaczce budzi
nieporozumienia.

Dalej już tylko co celniejsze fragmenty epigramatyczne z poematu

„ZWODY I WZWODY":

On pracuje w hucie „Erdol".
Nie znasz go, to się nie lękaj,
Nie płacz, nie jęcz i nie stękaj.

*

To jest cała instytucja,
A nie jakaś szopa marna,
Jak Paryż czy też Warna.

*

W lesie stoi jego ferma,
Strumieniami płynie miód,
No i w ogóle życie-cud.

*

Dookoła ciche lipy,
A w salonach takie damy,
Jakich dzisiaj już nie mamy.

*

Ale tak, to dobra żona,
Wuj się wcale o nią nie bać
I co wieczór on ją słuchać,
To, co mówi mu na ucho.

Całość kończy się następująco:

Co wy na to?
My co? — Klawe!
Więc kończymy tu rozprawę.

Opadły nas wątpliwości, czy to faktycznie pornografia? Wszystkim tym obdarował nas w każdym razie pewien autor, używający aż ośmiu pseudonimów. Pomysłowy człowiek.

PRZYPOMINAMY: „Ruch" i poczta

tylko do 10 marca

przyjmują prenumeratę „Kameny"
na II kwartał br.

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE 1969

Czas w którym żyjemy. Antologia tekstów prozatorskich młodych autorów. Zebrano tu prace nagrodzone i wyróżnione w latach 1966—1967 na konkursie „Czółenka tkackiego", organizowanym przez KKMP „Wiadukt". Cena — 13 zł.

Bohdan Arct, Śladem samolotu. Zbiór wspomnień znanego lotnika-myśliwca, uczestniczącego w bojach II wojny światowej. Autor powraca nie tylko do czasów wojny, ale również pokazuje rozmaite, często zabawne zdarzenia, związane z jego spotkaniami z czytelnikami. Cena — 13 zł.

Honorata Chróścielewska, Córka tego co tramwaje jego. Wbrew pozorom jest to powieść dla dorosłych. Przez pryzmat spojrzenia dziecka przełamuje się życie niższych warstw międzywojennego społeczeństwa w Polsce. Wydanie drugie. Cena — 15 zł.

Franciszek Kubiak, Pokonałem śmierć. Wspomnienia autora z obozu zagłady w Dachau, „gdzie Polacy stanowili najliczniejszą grupę narodowościową". Ukazana została walka polityczno-ideowa więźniów, prowadzona w nadzwyczaj trudnych warunkach. Publikacja opatrzona autentycznymi dokumentami i zdjęciami. Cena — 10 zł.

Stanisław Rapalski, Byłem w piekle. Wspomnienia autora z pobytu w obozie koncentracyjnym w Radogoszczu. Dzieje tego obozu są mniej znane naszemu społeczeństwu. Wydanie trzecie poprawione i uzupełnione. Cena — 10 zł.

Tadeusz Szewera, O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta. „Tom o reporterskich włóczęgach w poszukiwaniu cech dawnej wielkiej i małej historii, o prowincjonalnych miasteczkach i oddalonych od szlaków komunikacyjnych wsiach". Książka pełna uroków staroświeczczyzny, ale i rzetelnej wiedzy historycznej. Lektura dla wszystkich. Wydanie drugie. Cena — 13 zł.

SPROSTOWANIE

Do zamieszczonych w poprzednim n-rze „Kameny" wspomnień K. A. Jaworskiego („Przed 30 laty") wkradł się przy przepisywaniu materiału błąd. Jest: „Aresztowano mnie 20 marca", a powinno być „20 czerwca". Prostujemy, tym bardziej, że autor przypomina kapitulację Francji, która nastąpiła właśnie w czerwcu 1940 r.

Listy do KAMENY

„Proszę o reportaż z rzeźni"

Chciałem podziękować autorowi felietonu „Proszę o reportaż z rzeźni" („Kamena" nr 3 — 1970) za poruszenie tak istotnej sprawy, jak nasz stosunek do zwierząt. „Cyniczny ekshibicjonizm" — to słowa wyrwane z ust milionów myślących i mających choć trochę poczucia humanitaryzmu i estetyki widzów. Osobiście od aparatu odszedłem, ale zostali inni — młodzi. Niektórzy spośród nich aprobowali. Co się stało, już nie odstanie, ale chcielibyśmy, żeby przynajmniej na przyszłość za nasze pieniądze TV taką rozrywką nas nie „rozrywała".

„Żijon"
Opole lubelskie

* * *

W „Kamenie" z dnia 1 II br. pan „Ijon" był nieszczególnie usposobiony do „bigosu myśliwskiego". Bogiem a prawdą, ja również nie jestem lepiej usposobiony. Uważam jednak, że „Ijon" nie ma pełnych powodów do wyrażania swego niezadowolenia. Miałby je wówczas, gdyby wysłano go w teren do podjęcia „akcji" dożywiania zwierzyny leśnej. Dopiero pan „Ijon" miałby „bigos" — oj — miałby...

Wobec powyższego uważam że: aczkolwiek pan „Ijon" może być niezadowolony, to jednak jest w szczęśliwszym położeniu od tych, którzy próbowali tego terenowego „bigosu". Niezadowolenie w „szczęśliwym" położeniu nie jest pełne. Dopiero nieszczęśliwe położenie — jest rozpaczą. Właśnie obawiam się, że w tym ostatnim może znaleźć się pan „Jacek" za swój apel do „świętych". Chociaż z cichutkim aplauzem ogólnie przyjmuję wywody pana „Jacka" jednak muszę stwierdzić, że autor nie wziął jednego pod uwagę: sprawy kadr. Autor posyła wszystkich „dewotów (i kadzielników)) — do diabła", lecz czy zdaje on sobie sprawę, że po zabraniu niektórym spośród tych ludzi ich „profesji" staną się oni elementem nieprzydatnym w naszym społeczeństwie? Że aby wdrożyć tych ludzi do produktywnej pracy trzeba ich odpowiednio przeszkolić? Skąd na to fundusze? Panie Redaktorze! Moim zdaniem „Jacek" za mocno „wychylił się". Kończąc, polecam go opiece wszystkich Kamen. Czy opieka ta będzie skuteczna?... Odpowiedź na da mi nasza „Kamena" swoimi następnymi numerami. Jeżeli na ostatniej stronie będzie figurował podpis „Jacek" — uwierzę w moc boginek greckich.

Łącząc wyrazy szacunku pozostaję

Henryk Jahor
Wyryki pow. włodawski

„Kultura" i „Kleopatra"

Felieton „Kultura i „Kleopatra" w ostatnim numerze „Kameny" (z 1 lutego br.), podpisany „MD", skłonił mnie do poinformowania autora, że w Rzeszowie zbożne dzieło upowszechniania kultury filmowej, której niewątpliwym reprezentantem jest film Mankiewicza, buduje również tak światowa instytucja, jak „Orbis". Otóż ogłosił on niedawno, że wszystkich złaknionych oświecających widoku „Kleopatry", a mieszkających w miasteczkach, osiedlach, siołach i chutorach odległych od stolicy województwa, przewiezie luksusowymi autokarami (na koszt złaknionych) pod same wrota świątyni X Muzy. Chętnych nie stoją, sami się pchają, a „Orbis" wozi wycieczki pięknoduchów do rzeszowskiego kina. A może tak wytłumaczyłby ktoś dyrektorowi, że w dziedzinie upowszechniania kultury obowiązują u nas inne zasady, nie mające nic wspólnego z finansowym interesem turystycznego przedsiębiorstwa?!

Jerzy Kleniewski
Rzeszów

Teatr w Radomiu

Zauważyłam, że „Kamena" zajmuje się czasami, lecz z należytą uwagą, sprawami Radomia. Chciałabym więc zainteresować redakcję sprawą budynku teatralnego, zamkniętego od lat na cztery spusty. Istnieją podobno jakieś zasadnicze kontrowersje co do własności budynku, nie pozwalające na podjęcie remontu. A tymczasem czas biegnie. Teatr im. Żeromskiego (scena radomska) występuje w sali widowiskowej PMRN, co przecież nie ułatwia mu sensownej pracy. Zachęcam więc do podjęcia tego tematu, może Wasza interwencja przyniesie jakiś skutek, oczywiście, dobry skutek.

Pozdrawiam

Janina Łęczyńska
Radom

Listy do KAMENY

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch" Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-82, sekretarz redakcji i dział korrespondencyjny 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 462. II.II.70. 2.600 Z-3

Malinowski w Lublinie

PANIE kierowniku, przyjechaliśmy wreszcie do tego Lublińca...

— Do Lublina, nie do Lublińca, wy zawsze, Malinowski, musicie coś przekręcić.

— Ja tak spieszczam. Zdrobniale mówię, panie kierowniku.

— Zupełnie nie orientujecie się w geografii. Lubliniec leży w drugiej stronie Polski.

— W której? Tylnej czy przedniej?

— Tylnej, przedniej? W geografii nie ma tyłu i przodu. Jest północ, południe, wschód i zachód.

— O, jaki pan kierowniczek mądry! A zachód to imperialiści.

— Nie zawsze, nie zawsze. Zależy, gdzie się stoi i skąd się patrzy.

— Gdy się stoi, gdy się leży, dwa tysiączki się należy. Panie kierowniku, jak pan już taki uczony, niech pan powie, czy nam 18 zeteł diety dziennej na ten Lublinek wystarczy?

— Wystarczy, wystarczy. Nie musimy przecież zaraz iść do Lublinianki!

— A fajna ta lublinianka? Jak ma na imię?

— Malinowski! Lublinianka to knajpa, tfu, kawiarnia. Tak jak Tip Top.

— Jak co? Miałem psa, który się tak nazywał. Tip to imię, a Top nazwisko. Po ojcu z psiej arystokracji.

— Malinowski, Tip Top to też kawiarnia. A Fafik...

— Fafik to pies z „Przekroju". Na etacie dziennikarskim.

— Głupiście, Malinowski. Fafik to knajpa, znaczy się zakład zbiorowego żywienia.

— Fajnie pomyśleli. Mogą karmić pod psem i nikt nie ma pretensji. Uczciwie, że tak z góry uprzedzają. Nie ma co, prawdziwa Europa!

— A jest, jest i Europa.

— Widzi pan, że mam rację.

— Europa to też nazwa lubelskiej knajpy, chciałem rzec — restauracji.

— Tam również dają jeść pod psem?

— Nie wiem, Malinowski. Zwykle chodzę do Powszechnej.

— Jeszcze pan nie skończył powszechniaka?

— Restauracji Powszechnej. Dawny Radzyminski...

— Dawny, dawny... Kiedyś jadał tam tylko jeden Radzyminski, no i może czasem pan kierownik, a teraz wszyscy. Powszechna! To mi się podoba!

— Jak zjecie tam kuropatwę z buraczkami, przestanie się wam podobać.

— A starczy mojej diety?

— Do spółki dostaniemy jedną czwartą kuropatwy.

— I jedną czwartą buraczka? Panie kierowniczku, pan się tak ładnie zaczerwienił na widok tej lublinianki, co koło nas mignęła kolanem, że może nam to już wystarczy za obiad.

— Malinowski, wiecie, że mam krótki wzrok i poniżej piersi, tfu, brody nie patrzę. Mam poza tym żonę.

— Ja też mam. Ale obce kolano konia tuczy!

— Malinowski, gdzie wy znów widzieliście, aby koń jadł kolano?

— To była przenośnia, panie kierowniku. Licentia poetica!

— Pierwszy raz słyszę, aby jakiś urząd wydawał licencje na pisanie poezji. W naszym kraju każdy — chłop, robotnik i inteligent pracujący może tworzyć wiersze, fraszki i inne powieści. Nawet i ja potrafię:

Lublinianka
jest bez manka.

Lublinianka
jak kapłanka.

Lublinianka
to łapanka.

— Phi, wielka sztuka. Niech pan posłucha:

Warszawianin
tworzy do bani.

Warszawianin
strasznie chrzani.

Warszawianin
nie dla pani.

— Sami widzicie, Malinowski, że wy też możecie tworzyć bez tej poetyckiej licencji.

— Panie kierowniku! Licentia poetica — to po łacinie!

— Malinowski, wy mi tu brzydkich słów nie używajcie! Proszę, z łaciną wyjeżdża. I to w Lublinie, gdzie umarł wielki poeta polski, który wydał walkę łacinie.

— No i umarł. Znaczy się, że z łaciną się nie wygra. Znów ją zresztą do szkół wprowadzają. Ale, ale, panie kierowniku, w brzuchu mi burczy, chodźmy gdzieś na jakiś obiad.

— Podzielimy go na dwie części. Zaczniemy w barze mlecznym, a dokończymy w barze Litewskim.

— Skąd Litwini wracali?

— A skąd mieli wracać? I jacy znów Litwini?

— Mickiewicz, panie kierowniczku. Wieszcz. A pan myślał, że ktoś z Samsary?

— Samosierry, Malinowski!

— Samsary, panie kierowniku. Trzeba się znać na lubelskiej literaturze. To taka nowa grupa poetycka. Po lekturze ballady chłopskiej smakuje jak kumys na deser. Czapki na bakier, śladami Pegaza i tak normalnie być! Wiersze proste jak życie. Samsar wczoraj i przedwczoraj. Można powiedzieć czerwiec przez kalkę!

— Malinowski, co wy tak dziwnie mówicie?

— Dziwnie? Literacko, panie kierowniku. W Lublineczku żartować nie należy! Łatwo mogą człowieka złojanić!

— Złoić, Malinowski!

— Złojanić! Wiem, co mówię, panie kierowniku. A teraz naprzód. Marsz, marsz, Polonio...

— O, właśnie restauracja Polonia. Może wstąpimy na moment?

— Przypominają się panu studenckie lata?

— Malinowski, ale kryptonim tajne!

— Panie kierowniku! To wprost genialne! I pan zna książki lubelskie? Niech pana kaktusy z zielonej ulicy!

— Ale to będzie już nasza ostatnia akcja!

— Tak jest. Koniec seansu!

* * *

I tak można przy pomocy nazw lubelskich zakładów zbiorowego żywienia, tytułów książek Wydawnictwa Lubelskiego, tudzież książek tych autorów, którzy w WL już przestali wydawać, ułożyć rozmówkę Malinowskiego z panem kierownikiem. Ta rozmówka łzy mi z oczu wyciska. Pocieszę się po otrzymaniu honorarium. Prezes Sokorski chyba jednak bardziej cierpi, gdy musi Malinowskiemu, panu kierownikowi i szanownemu Autorowi, któremu już dawno wyczerpał się koncept, płacić żywą gotóweczkę co tydzień. Ale czy naprawdę musi?

MAJ

BIG-BEAT

OdGruzujmy nasz teren

PANIE Redaktorze! „Awanturnicy-wystąp!" — tak zatytułował swój felieton w „Kierunkach" (nr 7, 1970 r.) „Obserwator". Autor stwierdza m. in.: „Gdy przegląda się dawną prasę literacką i porównuje ją z dzisiejszą, jedno zdumiewa, jedno jest nazbyt oczywiste: Boże, jak ci ludzie kiedyś się żarli, jak umieli się żreć, jak nieustannie odnajdywali jakieś problemy i problemiki godne sporu, różniące bractwo, zmuszające do podnoszenia głosu. Pisali artykulasy z całym bagażem argumentacji, albo krótkie złośliwe notki rozsiane po ostatnich stronach, mówili spokojnym, lecz nieustępliwym językiem spierających się znawców przedmiotu, albo walili epitetami jakby żywcem branymi z pyskówek, za które odpowiada się przed sądem, reagowali żywo, zajadle na każde potknięcie i na tym robili kariery nie tylko oni, ale i same pisma, pełny zestaw amunicji był stale w użyciu... Dzisiaj z tej naelektryzowanej, burzliwej atmosfery nie pozostało właściwie nic.

Zdrobnomieszczanieliśmy, Panie Redaktorze, okrutnie. „Ty mnie nie ruszaj, nie zaczepiaj, ja ciebie też nie skubnę" — takie hasło można nie tylko zamieścić pod winietą wielu czasopism i dzienników, ale również wywiesić w dziesiątkach sal, w których odbywają się mniejsze czy większe narady, konferencje, spotkania. Do wyjątków należy tam głos w dyskusji. Królują koreferaty („referat napisany jako uzupełnienie innego referatu, podstawowego, zwykle oświetlający dane zagadnienie z innego punktu widzenia" — „Słownik języka polskiego" pod red. W. Doroszewskiego, PWN, Warszawa 1964), z tym, że ów „punkt widzenia" jest przedstawiony z niższego szczebla. Rzadko kiedy przemawiający nawiąże do wypowiedzi przedmówcy. Twardo czyta z kartki, jakby w ten sposób chciał pokazać wszem i wobec, że nie jest analfabetą, ale „cytaty i pisaty". Na ostatniej wojewódzkiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej ZMS w Lublinie też byli tacy, którzy starali się w ten sposób udowodnić swoją edukację. Na szczęście nie zabrakło jednak i głosów „na żywo" uczulonych na wszelkie przejawy brutalności i chamstwa. „Darzymy szacunkiem — mówił uczeń, delegat z Zamościa (przytaczam z pamięci) — starych działaczy, partyzantów, ale często nie przeszkadza nam, gdy urządzamy głośną prywatkę, a ów zasłużony partyzant, dzięki któremu dziś możemy się bawić, nie może przez nas spokojnie odpocząć". Ów zetemesowiec zwrócił jednocześnie uwagę na niewłaściwe zachowanie się części młodzieży szkolnej, w czasie niektórych uroczystości...

Ale właściwie po co się wysilać? Sprawozdania, jakie po konferencji ukazały się w lubelskich dziennikach były i tak więcej niż sztampowe. Odbyło się to i to. Przybyli ci i ci. Referat wygłosił ten i ten. W bogatej dyskusji zabrało głos tylu i tylu. Na zakończenie podjęto to i to. Żadnej oceny. Drętwota do którejś potęgi. Jakże zresztą mogło być inaczej, kiedy stolik prasowy przeważnie świecił pustką?

Dotykam sprawy dość delikatnej. W naszym mieście odbywa się wiele różnych narad. Fizyczną wprost niemożliwością byłoby obsłużenie wszystkich i napisanie rzeczowego sprawozdania. Są jednak takie, na których po prostu wypada „siedzieć kamieniem" słuchać i notować. Jeśli sprawozdanie musi już być (czy rzeczywiście musi?) nijakie, to czy nie można później wrócić do poruszanej problematyki w formie komentarza lub felietonu? Wówczas sam trud siedzenia będzie miał ekwiwalent w formie... większego honorarium. W danym przypadku rzecz jest o tyle drastyczna, że o wojewódzkiej konferencji ZMS pisali doświadczeni dziennikarze, ba nawet autor książki (chwalonej). Czyżby więc praca w dzienniku podcinała skrzydła? A może po prostu idzie się najłatwiejszą drogą, bo i tak nikt nie zwróci uwagi, byle materiał był tylko na czas i nie miał politycznych potknięć?

„Ludzie kiedyś się żarli" — pisze w „Kierunkach" „Obserwator". Zmienił się ustrój, ale żreć możemy się nadal. Niech to będzie jednak żarcie, w którym chodzi o jakiś cel, o jakieś dobro. I nie bądźmy Gruzą, który tak się obraził na Dygata, za to, że ten w „Polityce" ośmiela się szargać świętości.

Jesteśmy ateistami. Ze świętościami nie przesadzajmy! OdGruzujmy nasz teren!

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Wieczory w hotelu

CO robi wieczorami Polak przebywający w delegacji służbowej? Według powszechnej opinii pije wódkę i poszukuje sobie dziewczynek. Jeśli nawet jest to prawdą, to nie wyczerpuje ona całości. Przeciętny Polak w podróży oddaje się też wieczorami tak prozaicznym zajęciom, jak pranie bielizny i skarpet.

Pranie koszul w hotelu to bardzo żmudne zajęcie, mimo tych nowych materiałów, z których są uszyte i nowych środków piorących. Najłatwiej jest w hotelach najniższych kategorii, nie posiadających wody bieżącej, gdyż pokoje zaopatrzone są w miednice. Jako tako można sobie dać radę w kategorii I lub S, w pokoju z wanną. Natomiast w całej reszcie, żeby przeprać cokolwiek, trzeba się męczyć w małej umywalce i wychlapywać wodę na podłogę. Próba wypożyczenia miednicy nie daje rezultatu. Hotele zresztą wyraźnie robią co mogą, aby goście nie prali w pokojach. W warszawskim „Domu Chłopa" w wielu pokojach umywalki nie posiadają korków do ich zatkania i zatrzymania wody.

Powie ktoś, że słusznie. Pokój to nie pralnia. Lecz praktyka życiowa wykazuje co innego. Jedni goście produkują korki z korków do butelek i kawałka szmaty lub papieru; przemyślniejsi namaczają pranie w plastikowym worku włożonym do umywalki, a płuczą pod kranem.

Suszenie, jeśli się nie ma wanny w pokoju, też nie jest proste. Zresztą problem nawet w tym, gdzie powiesić tę koszulę? Goście robią więc ze spinaczy biurowych jakieś haczyki, na nich umocowują koszulę, a woda z niej sączy się na podłogę, ewentualnie na położoną na podłodze gazetę, niszcząc parklet i zawilgacając strop. Nieprzystosowanie hoteli do prania sobie przez gości bielizny, okazuje się zatem sprzeczne z interesami hoteli.

Tego rodzaju pretensji o drobne, zdawałoby się, a uciążliwe i denerwujące sprawy, można by mieć sporo. Tu i ówdzie w pokojach hotelowych brak jest gniazdek elektrycznych, prawdopodobnie w obawie, by goście nie gotowali sobie potraw na kuchenkach elektrycznych i nie podpalili przez nieuwagę budynku; w rezultacie utrudnia to życie mężczyznom używającym golarek elektrycznych, czy też podróżnym chcącym zagotować sobie grzałką wody na herbatę lub kawę. Rzadko w którym hotelu w pokojach są szczotki do butów, więc goście radzą sobie różnie: czyszczą obuwie zasłonami okiennymi, dywanami, kocami czy prześcieradłami. Rzadko gdzie w pokoju jest też szczotka do ubrania, igła z nićmi, serwetki papierowe do ust. Wyposażenie w istotniejszy sprzęt jeszcze bardziej jest zróżnicowane: tu jest i lampka nocna i lampa stojąca, tam jedynie nieosłonięta żarówka pod sufitem, tu jest znakomite radio, tam nieczynny gruchot lub nie ma żadnego. A przy tym wszystkim ceny nie odgrywają zasadniczej roli. Za te same pieniądze można mieszkać jak król, lub jak dziad, w zależności od tego, do jakiego „pionu" należy właściciel hotelu.

Prawa podaży i popytu odgrywają w hotelarstwie taką samą rolę, jak gdzie indziej. W tej chwili popyt na usługi hotelarskie jest znacznie większy od podaży, administracje hoteli są więc pewne, że tak czy inaczej będą miały gości. Obecnie wszędzie w Polsce buduje się sporo obiektów hotelowych, ja jednak przypuszczam, że oddanie ich do użytku niewiele zmieni sytuację. Może nawet przyrost miejsc noclegowych będzie mniejszy od wzrostu ruchliwości Polaków. Obserwujemy bowiem, że w nowych hotelach coraz większy procent powierzchni przeznacza się na cele niemieszkalne.

W motelu PZMot przy ul. B. Prusa w Lublinie restauracja i kawiarnia oraz sala konferencyjna są w sumie o wiele większe niż część noclegowa. W Opolu Lubelskim oddano niedawno do użytku nowy motel. Część hotelowa znajduje się na II piętrze i ma zaledwie 30 łóżek. Cały parter i I piętro zajmują restauracja i kawiarnia z dancingiem. takich obiektów jest więcej. Co sobie myślą gospodarze tych miast, tych placówek? Co myślą projektanci i ci, którzy projekty zatwierdzali? Motel (dlaczego nie po polsku: zajazd) ma być miejscem, do którego przyjeżdża się, odpoczywa, śpi i pożywia — oraz poddaje samochód niezbędnym zabiegom. Czy nie powinno być tak: duża część hotelowa, mała gastronomiczna. Czy istotnie gościom 30-łóżkowego hotelu potrzebny jest zakład gastronomiczny na 150 osób, czy też może zbudowano go bardziej z myślą o miejscowych konsumentach? A nawiasem mówiąc i niczego nie ujmując szanowności ludzi śpiących i posilających się w oblekcie PZMot przy ul. Prusa, motel ten pretenduje do miana najszykowniejszego w Lublinie domu wiadomych spotkań.

Polak w podróży służbowej, być może, dlatego tak często zalewa palę lub zawiera znajomości z „panienkami", że ma trudności ze znalezieniem łóżka wyłącznie dla siebie.

Paliwoda

Rys. A. Stok

NOTY i notki

Redakcja „Poezji" jeszcze w listopadzie zaprosiła 15 młodych krytyków z całej Polski (w tym naszego stałego współpracownika Tadeusza Kłaka), aby „wymienić poglądy na temat naszego pisma i sytuacji w krytyce poetyckiej". Spotkanie było niewątpliwie ciekawe i czytelnicy chętnie zapoznaliby się z wypowiedziami. Tymczasem „Poezja" w numerze lutowym skwitowała to krótką natatką, z której — pod odrzuceniu kompelentów — udało mi się wyłuskać tylko jedno stwierdzenie: „Poezji" zarzucono synkretyzm i skłonności polonistyczne". Oraz jeden slogan: „Wypowiedzi metakrytyczne domagały się, by krytyka towarzyszyła młodej literaturze w zdobywaniu nowej formuły poetyckiej, by dopracowała się nowego, współczesnego języka". Czy nie było szkoda pieniędzy na delegacje, jeżeli w rezultacie nie dowiedzieliśmy się niczego ani o „Poezji" ani o poezji? A propos: czy dopracować się to już współczesny język?

Dla odmiany w tej samej „Poezji" (nr 2) całe cztery strony poświęcono wierszom, napisanym przez Picassa przed 11 laty, a dwie dalsze wyjaśnieniom tłumacza — Mieczysława Bibrowskiego. Tenże tłumacz twierdzi, że „wbrew pozorom... ramą całości jest normalna składnia zdania z podmiotem, orzeczeniem, dopełnieniem itd". Oto jeden z przykładów (przydługi — ale co zrobić?): „dym z zeschłej trawy karuzela drut / kamień drzewo i wapno czerwone wino / belka wódka i królik oliwki / stół krzesło i butelka szklanka cegła piórek / pieprz i sól cytryna pomarańcza / kosmdą podkoszulka kalesony skarpetki / i zwykle kamienie i kamienie i jeszcze / kamienie i ten i ten i który i który / 1 2 3 4 5..." i dalej od „i 6" do „i 45". Chyba i prof. Doroszewski nie znajdzie tu ani orzeczenia ani dopełnienia — może z biedą „itd".

Ostatecznie literaci, a przynajmniej redaktorzy „Miesięcznika Literackiego", też powinni chodzić po ziemi. Tymczasem wygląda na to, że błądzą w chmurach, gdzie nic nie wiadomo o trudnościach papierowych na tym padole. Tenże więc „Miesięcznik Literacki" (nr 1) gospodaruje przyznanym mu papierem więcej niż rozrzutnie. Każda strona, na której kończy się artykuł, reportaż lub esej, jest już do końca pusta (chociażby było na niej zaledwie 18 linijek druku, zakończonych w dodatku dopiskiem „Dokończenie w następnym numerze"). W ten sposób łącznie zmarnowano 7,5 strony. Dalej — każdy tytuł z nazwiskiem autora też zajmuje pół strony. Może i ładnie to wygląda, ale pochłania 19 stron. Trzw. stopka redakcyjna też zajmuje całą stronę, chociaż druku wystarczyło tylko na czwartą część. Wreszcie nazwiska 21 osób zespołu redakcyjnego — to dalsza strona. Nawet w dziale „wydawcy proponują" pozostało miejsce na 5 tytułów — czyżby i ich zabrakło?

Nasz były współpracownik i zawsze aktualny przyjaciel Kazimierz Grześkowiak przekonał się, iż wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Wrócił więc w domowe pielesze i zaczął organizować kabaret, dla którego znalazło się już miejsce — oczywiście w piwnicy. Gorzej z owymi domowymi pieleszami, bo te wraz z ich właścicielem, jego żoną i córeczką zajmują malutki, podnajęty pokoik. Na pracę twórczą — myślenie, pisanie tekstów i komponowanie muzyki — został jeden decymetr kwadratowy. No cóż — był taki sportowiec, który po wrzuceniu ilus tam piłek do kosza otrzymał kilkupokojowe mieszkanie (a był kawalerem) z puli specjalnej dla zasłużonych. Ale potem szybko zwiał, pozostawiając mieszkanie dalszej rodzinie. Grześkowiak chce kupić mieszkanie spółdzielcze, a ponieważ nie jest ani koszykarzem, ani bokserem, tylko działa na polu kultury, roztoczone przed nim perspektywy mieszkaniowe sięgają roku 1977. A potem będziemy się dziwić, że nam ludzie zdolni uciekają z Lublina...

Tegoroczny karnawał mieliśmy krótki, a o oryginalnych balach czy imprezach było całkiem głucho. Z tym większą radością notuję dla potomnych, że bary mleczne w Katowicach urządziły... bal dla wąsatych. Odbywały się tam jednak jakieś czary, bo mleczne koktejle tak się jakoś dziwnie zmieniały, że obszerna izba wytrzeźwień była tego dnia wyjątkowo mocno przepełniona.

JOD

Co poniedziałek o godz. 11.45, pani Karolina Kocowa, udziela przez 15 minut na falach Warszawy I porad praktycznych dla kobiet. To znaczy udzielała. Bo od pewnego czasu większą część audycji stanowi ilustracja muzyczna. Maluczko, a niektóre panie domu miast sprzątać i gotować, zaczną nam nucić szlagiery o miłości.

WIR

Odpowiedzi redakcji

J. P. w Warszawie. Podobał nam się wiersz „jeszcze raz ujrzeć ciebie" — kameralna, wyciszona liryka osobista. Nie podobały nam się dwa następne teksty — upatetycznione „formuły" istnienia. Tęgim myślicielem to Pan jeszcze nie jest, zaś powierzchowne strojenie się w piórka filozofa — chyba bez głębszej wewnętrznej potrzeby? — wiedzie ku fałszom poetyckiego tonu: „ślad pól zapomnienia", „demon ciszy", „asymptota śmierci", „czasu kamień" — sztuczne to i, w gruncie rzeczy, naiwne. Życzymy powodzenia w literackich trudach.

„Andreas" (cudzoziemiec?). Z Pańskich tekstów żaden nam się nie widzi, albowiem oba nadmiernie grzeszą tym samym, co i krytykowane przez nas wiersze p. J. P. Czasami nawet zakrawa to wszystko na parodię czy prowokację. Jesteśmy gołębiego serca, więc mogliśmy się nabrać. Ukłony.

D. P. w Łodzi. Ze skruchą musimy przyznać, że nie pojęliśmy Pańskich wierszy. Na przykład — „Ja jestem chemikiem./ Ja jestem chemikiem./ Ja jestem chemikiem./ To jest chemia./ Chemia jest dziedziną./ Dziedziną jestem ja./ Ja i chemia mamy dziedzinę./ Nie będziemy mieli dzieci." Dobre, co? Mocne, nie? Pan rozumie? Bo ja nie! Spuszczamy więc na to zasłonę potężnego milczenia. A swoją drogą radzibyśmy dowiedzieć się trochę więcej o autorze. Serio — co Pan porabia, czym się interesuje i tak dalej.

Mefistofeles D. z Lublina, A. Wałczak z Moszczny, Józef Hyży z Lublina, Jerzy R. z Lublina, Marek G., J. Woźniak z Wiosowa, Józef Zieliński z Lublina, Jonasz D. z Lublina. Człowieku ośmiu imion i jednego charakteru pisma! Twórczość Pańska została należycie zrozumiana i przyjęta w redakcji. Pomysłowość także. Łamy Poste-Restante stoją otworem.

D. W. A. (nie podane miejsce zamieszkania). Dziecko Drogie! Trudno nam zajmować się wartościowaniem wierszyków powstałych między dwunastym a piętnastym rokiem życia autorów. Mamusie, ciocie, nauczycielki powinny tu być pierwszymi sędziami, a także słuchaczkami wdzięcznymi. Umawiamy się ze wszystkimi korespondentami, że dolną granicą wieku, od której zaczną przesyłać teksty będzie siedemnaście lat życia, moment w pewnym sensie literacko symboliczny, jako iż Rimbaud w tym wieku debiutował.

Istnieje spora grupa autorów, którzy regularnie nadsyłają do nas całkiem przeciętne teksty literackie, albo jeszcze gorsze niż przeciętne i domagają się publikacji, bo oto należą do rozmaitych stowarzyszeń, zrzeszeń lub też drukują w rozmaitych okazjonalnych pismach, jednodniówkach etc. Dajemy słowo, że ani przynależność do KKMP, „koła młodych twórców" przy ZSP etc., ani też publikacja w prasie zakładowej, biuletynach kulturalnych etc. nie stanowi gwarancji talentu i nie otwiera, a przynajmniej nie powinna otwierać, szerszych łam prasy. U nas w ogóle opublikować wiersz jest nader łatwo, stąd się potem biorą te pretensje autorów. Droga jest m. in. następująca: wpierw wygrany konkurs szkolny na utwór „z okazji", potem „Radar" lub „Filipinka", następnie trzeba zdobyć fortecę terenowych periodyków społeczno-kulturalnych, a gdy tu przypadkiem się uda, otwarte wrota na „Kulturę", a może — strach mówić! — „Twórczość" i „Poezję". Nie popieramy tego mechanizmu.